Nr. 41. Lwów, Niedziela dnia 9. Czerwca 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

WŁADYSŁAW TARNOWSKI.

Ciężko jest brać pióro do ręki, gdy myśl przygnębiona upada pod brzemieniem smutku, kiedy złamany przedwcześnie ujrzymy kwiat życia i nadziei; gdy ostatnią posługę, cześć pośmiertną przychodzi oddać temu, co miał szeroką przyszłość przed sobą, co gorącą duszą ukochał wszystko, co szlachetne i piękne — ojczyznę i sztukę; co żył dla ideału i tajemnice jego umiał natchnionem objawiać słowem, co tak wiele a wiele mógł jeszcze uczynić dla kraju, literatury i sztuki. Śp. Władysław Tarnowski należał do tej młodzieży, której grono szczupleje niestety! z dniem każdym; do tej młodzieży, co umie czuć żywo i gorąco; a powinności obywatelskie pojmuje poważnie, gotowa do wszelkich poświęceń, aby marzone za młodu ideały wprowadzić w życie na polu pracy obywatelskiej — publicznej. Tarnowski był poetą i muzykiem, ale przedewszystkiem był gorącym Polakiem, mężem niezrównanej zacności charakteru i szlachetnych uniesień, i to jest, co taką czcią otacza pamięć przedwcześnie zmarłego, co taką żałobą przejmuje tych zwłaszcza, którzy mieli sposobność bliżej go poznać i przypatrzeć się jak cicho i skromnie, z jakiem nieraz poświęceniem spełniał obowiązki, z których inni szukają rozgłosu i chluby.

Nie zamierzam pisać tu biografii zmarłego, ani rozbierać krytycznie jego utworów poetycznych, jego literackiego talentu. Wspomnienie niniejsze będzie jedynie słowem czci pośmiertnej, na którą zasłużył, rozświecającem piękne strony charakteru tej zacnej, niepowszedniej duszy.

Poznałem go w roku 1863. Było to podczas powstania, gdy Edmund Różycki wkroczył z oddziałem swym z Wołynia do Galicyi, po rozbiciu Moskali pod Salichą, a ojciec jego, sędziwy, ale dziarski jeszcze starzec, jeden z najdzielniejszych w Polsce żołnierz i partyzant, otoczony aureolą czynów roku 1831, Karol Różycki, przybył do Galicyi, w myśli objęcia naczelnego dowództwa nad przygotowującą się wyprawą podolskich oddziałów powstańczych na plac boju. Ojciec z synem nie widzieli się od lat dziesięciu — od pobytu Edmunda za urlopem w Paryżu. Obadwa gorąco pragnęli obaczyć się, a nie tylko z powodów uczuciowych, ale aby się porozumieć zarazem co do dalszego prowadzenia rzeczy, u której byli steru. Spotkanie się wszakże ulegało trudnościom. Obu poszukiwała pilnie policya, jako głównych tutaj naczelników powstania, do osoby obudwu przywiązywał głos publiczny tak wielkie nadzieje, iż aresztowanie któregokolwiek z nich byłoby było niezmierną w owej chwili klęską dla powstania, pociągając za sobą powszechny ducha upadek, i pozbawiając na razie oddziały galicyjskie najdzielniejszych dowódzców. Niebezpieczeństwo tedy było wielkie; zwłaszcza, że na główne linie komunikacyjne zwrócona była baczność policyi i podróże coraz bardziej utrudnione. Szło tedy o to, aby wyszukać bezpieczne, nie zwracające uwagi władz ustronie, w któremby stary Różycki z synem zjechać się i dni parę spokojnie przepędzić mogli. Nadawały się ku temu doskonale ustronne Wróblewice, a młody ich właściciel, śp. Władysław Tarnowski, przybył osobiście do Lwowa dla zabrania ztąd i bezpiecznego przewiezienia Edmunda Różyckiego do Wróblewic, dokąd nazajutrz przybył także z Krakowa jego ojciec. Przez trzy dni podejmował u siebie drogich i pożądanych gości zacny gospodarz, i wówczas to miałem sposobność poznać go z bliska, przypatrzeć się jego życiu i otoczeniu.

Staropolski dworzec, otoczony sadami i wirydarzami, przypominał we wszystkiem tradycye przeszłości, które młody właściciel umiał uszanować, kochał on owo rodzinne gniazdo swoje, ów dworzec ustronny, a życie pojmował patryarchalnie. Lud wiejski w majątku swoim uważał za wielką rodzinę, z którą łączyły go węzły wzajemnych uczuć i obywatelskich obowiązków. W szlachetnem a·· do po·tycznego niemal ideału podniesionem pojęciu życia i zadań obywatela Polaka, wierny duchowi światła i postępu, idąc za jego głosem, zjednywał sobie miłość i cześć otaczających. Jako właściciel majątku uważał za główną swą powinność krzewienie światła pomiędzy ludem i troskliwość o jego dobrobyt i podniesienie moralne. W tym postępując kierunku postarał się najprzód o urządzenie pod własnem okiem wzorowej szkółki wiejskiej, a chcąc ją sam nadzorować i osobiście, umieścił ją tuż przy sobie. Największą salę w swym dworcu przeznaczył na szkołę; tutaj gromadziła się codziennie na naukę dziatwa wiejska i oto zawiązywał się od szkolnej ławy ów sympatyczny węzeł, mający łączyć we wszystkich przyszłych kolejach życia dwór z gromadą. Dobrawszy na nauczyciela swej szkółki utalentowanego i wykształconego młodzieńca, oddanego z poświęceniem zawodowi pedagogicznemu, żył w ciągłej z nim styczności, aby tym sposobem wpływać na kierunek nauki w szkółce przez kształcenie jej nauczyciela. Rozbierali oni razem najwłaściwsze metody nauki; zastanawiali się nad wyborem najpotrzebniejszych włościaninowi wiadomości. Pod takim kierunkiem nauka musiała iść dobrze, rozwijać się torem właściwym. Było to ze strony śp. Tarnowskiego nie małem zaiste poświęceniem. Wziął na siebie zadanie być nauczycielem nauczyciela, a czynił to dla tego ludu, który kochał prawdziwie, bez popisywania się demokratycznemi doktrynami — czynił z serca i przekonania. Ażeby zaś ocenić użyteczność takiego postępowania, dosyć przypomnieć, iż działo się to w czasach, kiedy jeszcze nie mieliśmy ani Rady szkolnej, ani seminaryów nauczycielskich.

Życie pojmował jako kapłaństwo, którego zadaniem dążność do uszlachetnienia ludzkości — do ciągle wyższego udoskonalenia. W tym duchu postępował i to za najwyższe zadanie człowieka uważał. Gdy słuchał nauk na Akademii Jagiellońskiej w Krakowie, wpływ jego uszlachetniający objawiał się bardzo wyraźnie w kołach akademickiej młodzieży. Wziąwszy sobie za wzór Tomasza Zana, wpływał całą duszą jak mógł na spółtowarzyszy swoich, aby szerzyć pomiędzy nimi zamiłowanie nauk i cześć dla tych świętych ideałów ludzkości, które sam umiłował gorąco, do egzaltacyi prawie. A czynił to nietylko

przykładem i słowem, ale dopomagając także materyalnie, gdzie była tego potrzeba. Rozporządzając wówczas jeszcze tylko szczupłymi studenckimi dochodami, dzielił się nimi z mniej zamożnymi kolegami, aby im ułatwić możność kształcenia się, od ust sobie odejmował, żył jak anachoreta, odmawiając sobie wszystkiego, byle innym dopomódz. Czynił to jednak zawsze w sposób tak pełen delikatności, że otrzymujący pomoc nigdy nie wiedział, zkąd ona pochodzi. Gdy po objęciu majątku rodzicielskiego urosły dochody, w miarę tego był już w stanie skuteczniejszą nieść pomoc młodym talentom, i niósł ją szczodrze; ale pozostawało to zawsze w tajemnicy.

W Krakowie w czasach akademickich żył w najściślejszej przyjaźni z Andrzejem Grabowskim, uczęszczającym tam wówczas do szkoły sztuk pięknych, z Antonim Zaleskim, młodzieńcem poetycznej duszy i wielkiej zacności charakteru, i z Arturem Grottgerem, podczas jego dwuletniego pobytu w Krakowie przed odjazdem do Wiednia. Było to grono związane pokrewieństwem dusz artystycznych, sympatyą uczuć rwących się po za sferę powszednią w dziedzinę ideału, w dziedzinę podniosłych pragnień, u których celu świeciła każdemu z nich uśmiechająca się złudnie, piękna, tęczami natchnień ubarwiona przyszłość. A kiedy przeszły czasy studenckie, i po rozbiciu się tego kółka, młodzi przyjaciele idąc torem swoich przeznaczeń i powołania w oddalonych od siebie znaleźli się stronach, Grottger i Grabowski w Wiedniu, na akademii sztuk pięknych, a Tarnowski w samotnych Wróblewicach, jakże tęsknił za nimi, gasząc tęsknotę w poetycznych marzeniach. Oto co pisał wówczas do jednego z nich ze swego ustronia w jednym listów, których całą wiązankę mam przed sobą:

„Żal mi, że was teraz w cieniu moich drzew mieć nie mogę. Tak cicho, tak uroczyście, kiedy stary dąb gwarzy z młodą brzozą, płaczącą za przeszłością ubiegłą, a dalej dwanaście lip, jak matron dwanaście, zaszepce różańcowym szmerem i chór topol na to odpowie drzeniem swych listków, a szum tych drzew z wonią kwiatów i głosem ptasząt zlewa się z dźwiękami dzwonu wieczornego i wszystko razem roztapia się w błękitnym, gwiazdolitym kryształe, drżąc u stóp Stwórcy chórem zmartwychstania... Czy tam przybija wtedy i myśl człowiecza?... O! pewnie jeśli ulata na skrzydłach cierpienia i miłości.“

Gdy mu doniósł Grabowski, że przyjeżdża do niego do Wróblewic i że obaczą się znów po kilkoletniem niewidzeniu, z jakąż radością, z jakiem dziecięcem niemal uniesieniem przyjmuje tę wiadomość. Uniesienie to drży w każdem słowie listu, który wówczas pisał do niego:

„Grabcu! Jędrusiu, dziecię moje! Czy ci trzeba wyraźnie powiedzieć, że drżę jak listek z radości, na myśl, że cię przecie mieć będę, i to za dobę, w tych moich starych, ślicznych, świętych Wróblewicach, gdzie Ci tak serdecznie dobrze będzie! Teraz nie puszczę cię ze szponów moich.....

A dalej w tym samym liście pisze:

„Dziś zbliżyłem się, zbratałem z ludem tutejszym. Tak mi w piersi uroczyście, spokojnie i cicho, jak w kościele...“

Z Grabowskim żył w najściślejszej przyjaźni, był niejako duchem opiekuńczym jego drogi artystycznej, z najczulszą sympatyą śledził jego postępów, zachęcał do wytrwałości; a jeśli Grabowski dzisiejsze swe stanowisko jako malarz zawdzięcza przedewszystkiem, jak każdy artysta, własnej pracy i talentowi, w znacznej też części winien je radom i przyjaźni Tarnowskiego.

„Całą siłą Twego ducha — pisał doń — kochaj sztukę i nic więcej, tylko sztukę, w niej kochaj Boga, ojczyznę i ludzi. Jeśli tak czujesz, przeżyją cię Twoje myśli i cierpienia. Jeśli nie, będziesz nicością jak tylu, tylu, tylu...

„Niech Twój anioł czuwa przy Tobie i nie opuszcza cię do końca.“

Treść tych słów powtarzała się w każdym liście, a słowa przyjaciela sympatyczne na młodego artystę wywierały wrażenie. Po wielkiej stracie na ukojenie żałoby posłał mu następujący piękny wiersz:

Szczęsny! zaszczycon we wieniec ciernisty —
W drodze najwyższej — na drodze artysty...
A czyż jest równa tej drodze na świecie?...
Czybyś ją oddał — Ty! niedoli dziecię!
Za wszystkie świata bogi i półbogi...
Za łachman purpur na podłym szkielecie,
Za mleczne, jasne, gwiazdolite drogi?...
Idź!.... Niechaj anioł natchniony boleści
Twe czoło senne na swem łonie pieści!!

W innym znów liście, pisze do niego do Wiednia:

„Prędzej potrafię zwątpić w siebie, jak w Twoją przyszłość, tylko bądź wyższym nad pyłki i drobnostki życia, bo ta nędzota może przeżréć jak rdza, że strawi szablę czystą i ostrą, jak mrowisko, co lwa roztacza. Niech praca będzie Ci siostrzycą i aniołem stróżem! Burze są straszne. Człowiek wie tylko, jak jest słaby, dla tego, bo nie chce się dowiedzieć, jak jest potężny! Rzucam Ci, tę garstkę słów bratnich, jak garść kwiatów, które upadłszy na Twą sztalugę, niech wonią przypomną ojczyznę i braci, jak pieśni znane z dni dziecinnych, niech wiodą z przeszłości w przyszłość...“

Jak pięknie przedstawia się tu śp. Tarnowski w każdem słowie! Był to poeta całą duszą, pełen tkliwości umysł podniosły, nie umiejący żyć inaczej jak w sferze ideału. Sztuka była mu tym ideałem, który po ojczyźnie najserdeczniej ukochał, i najwyżej w życiu cenił. Bez niej żyć i obejść się nie mógł. Ukochał poezyą, ukochał muzykę, to były dwa bóstwa uzupełniające duszę, z któremi związały się wszystkie myśli, cały świat uczuć młodzieńca. Przebywając w Wróblewicach spędzał czas pomiędzy poezyą a muzyką, a najszczęśliwszy był w gronie tych, co pokrewni duszą, równie jak on ukochali piękno sztuki i żyli w jej sferze, gdy mógł ich ugościć w tych, jak nazwał, swoich „starych, ślicznych, świętych Wróblewicach!“ Przesiadywał tu często Grabowski. Tu Grottger rysował swą *Lituanikę*. I były wówczas Wróblewice jakby świątynią sztuki, otoczone atmosferą, w której promieniło natchnienie, młodzieńcze myśli szybowały wysoko i wszystko do podniosłego nastrajało się tonu. (Dok. nast.)

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

V.

Pomimo, że Jan tak przykrego doznał wrażenia za pierwszą swoją bytnością u aptekarza, w parę dni wybrał się znowu do niego, a potem wizyty te powtarzały się coraz częściej. Przebywał tam zwykle po kilka godzin, to robiąc różne doświadczenia i rozbiory w kuchni chemicznej, którą znalazł nadspodziewanie zaopatrzoną we wszystkie chemikalia, to zabawiając się rozmową z aptekarzem. Oryginalny ten dziwak stawał się dla niego coraz interesowniejszy, był to dla niego rodzaj książki, w której znajdował bez ładu spisywane rozmaite wiadomości, paradoksalne zdania, cenne notatki o ludziach i głębokie prawdy zdobyte doświadczeniem. Jan z ciekawością i zajęciem zaglądał w karty tej żywej księgi. A nadto przekonał się, że w tym człowieku, pomimo jego dziwactw, złośliwości i pessymizmu, biło serce szlachetne i litościwe, że robił daleko więcej dobrego ludziom, szczególniej biednym, niż ci, co wiele mówią o miłości bliźniego. Aptekarz nie cierpiał ludzi, przynajmniej tak mówił, łajał ich, drwił nielitościwie; ale podczas kiedy słowami krzywdził i obrażał, rękami wciskał datek ubogiemu lub dawał mu za darmo lekarstwa.

Jan nieraz miał sposobność przez okno z laboratoryum widzieć podobne sceny i to pociągnęło go jeszcze więcej do szorstkiego mizantropa i polubił go, choć i z niego aptekarz drwił sobie nieraz nielitościwie wyśmiewając, szczególnie jego projekta względem podniesienia przemysłu w Galicyi. Jan z pobłażliwym uśmiechem przyjmował żarty aptekarza, czasami próbował tą samą bronią odpierać jego zarzuty; przychodziło nieraz z tego powodu do żywych dysput, które jednak nie psuły wzajemnej harmonii. Pomimo różnicy zdań i usposobień a nawet i wieku, obaj lgnęli do siebie, i wizyty Jana w aptece powtarzały się tak często, że aż rodzice zaczęli być o to zazdrośni. Chodził tam zwykle po południu i najczęściej dopiero koło ósmej wracał do domu.

Jednego dnia wróciwszy nieco wcześniej zastał matkę jeszcze przy krosnach, a obok niej jakąś panienkę, która jej pomagała w robocie. Jakież było jego zadziwienie, gdy w tej panience poznał ową żydóweczkę z ogrodu. Poznał ją tylko po jej dużych, czarnych oczach, kiedy je podniosła od haftu i zdumiona wpatrzyła się w niego. Zresztą była prawie całkiem niepodobna do tej, jaką widział owego poranku, nazajutrz po swem przybyciu z Wiednia. Rysy były wprawdzie te same; ale jeżeli tamta w fantastycznym wschodnim stroju, z rozpuszczonemi włosami, ożywioną twarzą i błyszczącemi ogniem oczami wyglądała jak jaka bohaterka z wschodniego poematu Tomasza Moora lub obrazu Murilla, to ta, którą teraz miał przed sobą, w skromnem ubraniu, gładko przyczesanych włosach, z twarzą spokojną, skromnem i łagodnem spojrzeniem, przypominała wykończone z drobiazgową dokładnością i czystością mieszczańskie portrety Holbeina. Oczy jej wyrażały także zdumienie na widok Jana. Oboje byli zakłopotani tem spotkaniem i nie wiedzieli co mówić.

Wybawiła ich z tego kłopotu matka Jana, która wskazując na syna rzekła do siedzącej:

— Patrz, Malciu, to właśnie mój syn, o którym ci mówiłam.

Żydóweczka skinęła głową nieśmiało i wnet twarz oblaną silnym rumieńcem pochyliła nad robotą.

Jan po tem powitaniu nie wiedział, co dalej mówić. Nie mógł sobie wytłómaczyć

stosunku matki z tą zagadkową dziewczyną, ani bytności jej tutaj. Byłaż to najemna robotnica, czy też znajoma. Nie wiedział, jak się zachować ma względem niej, i czuł się krępowany jej obecnością. Pogadał z matką kilka słów, pokręcił się roztargniony po pokoju, potem zdjął z gwoździa klucz od swego mieszkania i wyszedł. Dla czego wyszedł, tego sam nie wiedział i miał ochotę wrócić; ale mu brakło powodu. Został więc u siebie zły i niekontent, że się znalazł jak student.

Nie mniej był zaambarasowany, gdy wieczorem usiadł do kolacyi z rodzicami. Nie był pewnym, czy żydóweczka nie wygadała się przed jego matką: że go już znała i przy jakiej okoliczności się poznali, i w skutek tego nie wiedział jak zacząć o niej rozmowę z matką, i czy zaczynać. Dogodniej mu było niepytać się o nic, choć ciekawość namawiała go do tego.

Na szczęście matka rozpoczęła sama.

— No, cóż — spytała go z uśmiechem — jakże ci się spodobała moja pupilka?

Jan uczuł, że to niespodziewane pytanie zarumieniło mu twarz; maskując tedy to pomięszanie obojętnością zapytał:

— Cóż to za jedna?

— To żydóweczka, córka handlarza zboża, Kornbluma.

— I zkądże matka przyszła do takiej znajomości? — spytał nieco drwiącym tonem.

— Smutne było nasze poznanie. Wracaliśmy raz z ojcem ze spaceru: wtem patrzymy, jakieś zbiegowisko, a wśród niego dwie żydówki, blade ze strachu, wylęknione, cofające się przed groźbami kilku napastników, którzy szarpali je i popychali.

— Bo trzeba ci wiedzieć — objaśnił go ojciec — że w miasteczku naszem nie wolno było osiedlać się żydom. Dopiero Josel pierwszy ośmielił się skorzystać z równouprawnienia i założył tutaj handel. Nie uwierzysz, co wyrabiali tutejsi obywatele z tego powodu. Wybijano mu okna, napastowano na ulicy, były takie zbiegowiska i sceny przed jego sklepem, że aż żandarmerya wdawać się w to musiała i brać żyda w obronę. Żyd jednak przetrzymał to wszystko, a że był przebiegły i zręczny, umiał sobie różnemi sposobami ująć mieszkańców, szczególniej udało mu się zyskać protekcyą burmistrza, i pod jego opieką siedzi teraz bezpiecznie. Ale innym nie powiodło się tak szczęśliwie. Próbowało kilku osiedlić się tutaj i nie mogli się utrzymać. Prześladowano ich tak zawzięcie, takie trudności i przeszkody stawiano im na każdym kroku, że w końcu wynieść się musieli.

— To też możesz sobie wyobrazić — ciągnęła dalej matka — jakie oburzenie musiało wywołać pojawienie się dwóch żydówek, o których mieszczanie dowiedzieli się, że chcą zamieszkać stale tutaj. Zaledwie pokazały się na ulicy, rzucono się na nie z zawziętością i to nie tylko chłopaki, ale i poważniejsi mieszczanie i kobiety wzięły udział w tem prześladowaniu żydówek; znęcano się nad niemi, naigrawano, plwano, popychano i rzucano kamieniami. Jeden kamień uderzył młodą żydówkę w czoło i zranił ją. Wtedy ojciec, zobaczywszy to, pospieszył na obronę nieszczęśliwych i zasłaniając je sobą, zaczął łajać ostro napastników. Nie wieleby to może pomogło, gdyby nie żandarmi, którzy w tej chwili ukazali się w ulicy. Na ich widok tłum rozbiegł się i pochował do domów a my z ojcem odprowadziliśmy żydówki do ich mieszkania. W drodze młodsza w skutek przestrachu i rany na czole omdlała. Donieśliśmy ją do domu i tam cucić zaczęli. Kiedy przyszła do siebie i zobaczyła mnie przy łóżku, wyciągnęła do mnie ręce, uczepiła się niemi mojej ręki i całowało mnie biedactwo ze łzami w oczach i puścić nie chciało od siebie. Musiałam jej przyrzec, że na drugi dzień odwiedzę ją znowu. Jakoż poszłam na drugi dzień do niej. Ucieszyła się bardzo, przywitała się ze mną tak serdecznie, jakby matkę rodzoną witała, nie wiedziała jak okazać mi wdzięczność swoją za to, co dla niej zrobiłam. I takie to było lube, przytulne, tak garnęło się do mnie, że nie podobna było być dla niej obojętną. Posiedziałam tam czas jakiś. Biedactwo pytało mi się z dziecinną naiwnością, za co ci ludzie tak ją napastowali, kiedy ona im nic złego nie zrobiła. Musiałam jej wytłómaczyć tę nienawiść tutejszych mieszkańców do całego jej plemienia, o ile się dało. Kiedy odchodziłam obiecałam jej, że ją znowu odwiedzę. Ale uważałam że stara żydówka skrzywiła się na to.

— Czy to nie matka jej? — spytał Jan.

— Nie, jakaś krewna. Wtedy jednak nie wiedziałam jeszcze o tem, i ja także myślałam że to matka, a widząc jej obojętne a nawet niechętne zachowanie się względem mnie, nie spieszyłam się z następnemi odwiedzinami. Gdy wtem jednego dnia żydóweczka przyszła do mego mieszkania, prowadząc ze sobą jakiegoś żyda, którego mi przedstawiła jako ojca. Był to mężczyzna wcale okazały, wyglądał więcej na zamożnego mieszczanina, niż na żyda a nawet mówił wcale nie źle po polsku. Podziękował mi za pomoc, jaką udzieliliśmy jego córce i prosił, czy nie pozwoliłabym, aby córka jego mogła czasem przychodzić do mnie. Domyśliłam się, że prośba ta pochodziła właściwie od córki, bo kiedy ojciec mówił mi o tem, to biedne dziewczątko patrzało na mnie tak błagalnie a zarazem z trwogą, abym nie odmówiła, że w istocie nie miałam serca odmówić.

— To zapewne będzie ta żydóweczka — odezwał się Jan, ciągle udając, jakoby całkiem nie znał żydóweczki, o której była mowa — o której mi mówiła panna Aniela, że ma się przechrzcić.

— Tak mówią. Powiadają nawet, że ojciec jej dla tego wywiózł ją tutaj, i ta wiadomość o tyle udobruchała mieszczan, że pozwalają żydówkom mieszkać spokojnie; ale ze mną ojciec nic nie mówił o tem wyraźnie.

— Bardzo słusznie — wtrącił stary Leszczyc — zostawił to widać do woli córki. W takich rzeczach nie ma przymusu.

— A dziewczyna nie ma wstrętu do naszej religii, skoro, jak widzisz pomaga mi w tej robocie. — Tu wskazała na antepedium rozpięte na krosnach.

— Więc ona tu tak często bywa u matki?

— Pokazuje się, że ty rzadko bywasz, skoro jej dotąd nie widziałeś. Zasiedziałeś się u tego aptekarza.

Był to rodzaj delikatnego wyrzutu dla Jana, a jakkolwiek wyrzut ten osłodziła matka uśmiechem, nie mniej uczuł go syn. I nie wiadomo, czy to tak podziałało na niego, czy też był jeszcze inny powód; ale następnego dnia nie wyszedł, jak zwykle, do aptekarza, tylko pozostał w domu i to w pokoju matki i oświadczył się jej z chęcią czytania jakichś zajmujących podróży, które z sobą przywiózł z Wiednia.

Matka przyjęła to z wielkiem zadowoleniem. Prosiła go tylko, aby wstrzymał się z czytaniem do przyjścia Amalki, która bardzo lubi polskie książki i całą już prawie ich biblioteczkę domową przeczytała.

Jan chętnie się zgodził na to.

Nie długo czekali, bo niebawem drzwi się otwarły i weszła oczekiwana. Ubranie jej było staranniejsze niż zwykle. Miała na sobie muszlinową sukienkę w drobne niebieskie paski, którą w stanie przepasywała także niebieska szarfa, tylko ciemniejszej barwy. Z tej samej materyi miała kokardę pod szyją, a na ramionach zarzuconą lekko białą mantylkę. W czarnych włosach rozkwitał pączek róży. Jan spostrzegł od razu tę zmianę w ubiorze i połaskotało to jego miłość własną. Mógł przypuszczać, że on był przyczyną tej zmiany. I być bardzo może, iż żydówka zrobiła to w myśli, że go dzisiaj spotka znowu, a jednak gdy go tak niespodzianie zobaczyła zaraz przy wejściu, zarumieniła się mocno i znać było pewne zmięszanie na jej twarzy.

— Czekamy tu na ciebie z czytaniem — odezwała się do niej Leszczycowa. — Jan ma nam przeczytać coś bardzo ładnego.

Nowa fala rumieńca przepłynęła po twarzy Amelki; nic jednak nie odpowiedziała; zrzuciła mantylkę z ramion i usiadła do roboty i do słuchania.

Jan rozpoczął czytanie, natężona uwaga obu słuchaczek, dodawała mu ochoty; czasami przerywał czytanie dając wyjaśnienia, a wzrok jego wtedy zatrzymał się na pięknej żydówce, która od czasu do czasu podnosiła oczy na mówiącego; ale wnet je spuszczała na robotę, gdy spotkała się z jego wzrokiem.

Dziwny był stosunek obojga. Byli niby obcymi sobie, a jednak łączyła ich tajemnica; byli tak blisko siebie, a jednak nie rozmawiali wcale ze sobą; ani tego dnia, ani następnych, w których Jan także pozostał w domu, nie chcąc, jak mówił, przerywać czytania.

Ale jednego dnia stało się, że podczas kiedy tak siedzieli we troje, matkę odwołała służąca do kuchni do jakichś zajęć gospodarskich i zostali sami. Samotność ta widocznie obojgu uciążliwą była, bo mieli miny nie zdecydowane, zakłopotane i omijali się wzrokiem. Czytaniem nie można było zapełnić tych chwil, bo matka odchodząc prosiła, aby z tem na nią czekano; a nie wiedzieli o czem mówić mieli. Najłatwiej by im było rozmawiać o pierwszem spotkaniu swojem; ale Janowi się zdawało, że może niegrzecznie by było wszczynać rozmowę o tem, o czem obiecał milczeć. Tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu jego ona rozpoczęła pierwsza, choć widać było, że ją to dosyć kosztowało.

— Pan nie masz mnie się o nic spytać? — odezwała się nieśmiało nie patrząc na niego.

— Nie wiem, czy można.

— Owszem proszę pana. I nie czekając, aż pytać ją będzie rozpoczęła sama.

— Panu pewnie niezrozumiałą była ta scena wtedy w ogrodzie. Ten człowiek, którego pan tam widziałeś, to mój narzeczony.

Przestała czekając, co powie; ale Jan tak był nieprzygotowany na podobne wyznanie

wypowiedziane z śmiałością i prostotą, że nie wiedział co powiedzieć na to. Dziwiło go jednak, że narzeczonego traktowała jak napastnika. Musiała się domyśleć powodu jego zdziwienia, bo prędko dodała.

— Mój narzeczony, ale go nie cierpię, mam wstręt do niego. Zrobiłam to tylko dla ojca, że nas zaręczono, bo od tego człowieka zależy los mojego ojca. Co jest między nimi, ja nie wiem, tego mi ojciec nie chciał nigdy powiedzieć. Mówił mi tylko, że ten człowiek może go zniszczyć i zgubić zupełnie; dla tego nie trzeba nam drażnić go. Ojciec przyrzekł mi święcie, że żoną jego nigdy nie będę; ale narzeczoną muszę udawać czas jakiś, dopóki nie uwolnimy się od jego wpływu.

— Czy to jaki bogaty człowiek, że takie ma wpływy?

— Nie, a przynajmniej ja nie wiem o tem. Jest komisantem jakiegoś domu handlowego, jeździ wiele i ma rozliczne stosunki. Odwiedzał mnie tu kilka razy, ale zawsze z moim ojcem. Wtedy, kiedy go pan widziałeś, pierwszy raz odważył się przybyć sam. Poskarżyłam się za to na niego przed ojcem i chciałam zerwać wszystko; ale przyrzekł, że więcej już nie dopuści się czegoś podobnego.

To wyjaśnienie żydówki rozwiązało mu w sposób bardzo prosty zagadkę, w której fantazya jego i podejrzliwość upatrywały jakieś tajemnice i zawiłości. Cóż mogło być naturalniejszego nad to, że żyd spekulujący zbożem był w stosunku pewnej zależności od komisanta, który miał stosunki z zagranicznemi targami, że chciał z nim utrzymać dobre stosunki i na ten cel poświęcił, a przynajmniej pozornie ofiarował córkę swoją. Była to czysta spekulacya, nic więcej. Również wyjaśniła mu się owa nocna scena w karczmie za miastem. Ten drugi starszy żyd był zapewne ojcem Amelii i jechali do niej.

Rozwiązanie to, tak proste, sprawiło, że żydóweczka, którą imaginacya jego ubrała w urok tajemniczości, straciła teraz wiele w jego oczach. Nie mógł zaprzeczyć jej piękności; ale piękność ta nie miała już dla niego tego interesu, co przedtem. Patrzał na nią jak na piękny obrazek ze spokojem i chłodno.

Ale zaszła jedna okoliczność, która zmieniła to jego zapatrywanie. Matka jego zachorowała nagle, niebezpiecznie. Był to rodzaj uderzenia apoplektycznego, który sprowadził chorobę mózgową. Leczenie było trudne i wymagało nadzwyczajnej troskliwości i opieki. Jan z ojcem robili co mogli; pomimo to nie daliby sobie rady, gdyby im nie była przyszła w pomoc Amelia. Rodzona córka nie mogłaby z większem poświęceniem pielęgnować chorej. Bezsenne noce trawiła przy jej łóżku, odmieniając co chwila zimne okłady na głowę, podając lekarstwa, uspokajając rzucającą się w gorączkowych majaczeniach. W chwilach kiedy mężczyzni tracili głowy, ona, na pozór wątła dziewczyna, okazywała dziwną przytomność umysłu i umiała sobie radzić w krytycznych wypadkach; i wtedy, kiedy oni upadali ze znużenia i bezsenności, sama jedna czuwała przy chorej. Jan z uwielbieniem i podziwem patrzał na tę żelazną wytrwałość i bezgraniczne poświęcenie; uczucie wdzięczności rosło w nim z każdym dniem dla Amelii i zaczęła znowu urastać w jego oczach nie sztuczną jakąś grą fantazyi, ale rzeczywistą wartością. Wśród nieszczęścia, jakie ich dom nawiedziło, stała się opiekuńczym aniołem. Jeżeli czasem na parę godzin odchodziła od nich, aby wypocząć lub posilić się, Jan doznawał śmiertelnego niepokoju o matkę, bał się, że w nieobecności Amelii coś złego jej przydarzyć się może, i z bijącem sercem oczekiwał jej przybycia. Zdawało mu się, że z jej przybyciem wraca nadzieja i niebezpieczeństwo minęło. Kiedy jej raz powiedział o tem, uśmiechnęła się łagodnie i rzekła:

— Gdyby tak było, to gotowabym nie odchodzić ztąd wcale, dopóki by pańska matka nie wróciła w zupełności do zdrowia.

A gdy jej podziękował za troskliwość, z jaką pielęgnuje chorą, i począł unosić się nad jej poświęceniem, przerwała mu i rzekła skromnie:

— Czyż to warto o tem mówić? Co ja takiego robię? Oddaję tylko mój dług. Wszak pańska matka także mnie ratowała, gdy byłam w niebezpieczeństwie życia.

Ta wstydliwa skromność, z jaką usuwała się od jego podziękowań i pochwał, jeszcze więcej podnosiła jej wartość i coraz więcej czuł dla niej wdzięczności i szacunku.

(C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

Jeśli pierwsza rewolucya była kalwińską i demokratyczną, druga w roku 1588 natomiast była anglikańską i zachowawczą. Reforma polityczna podobnie jak religijna dokonaną została bez wielkich trudności. Obalono króla, lecz nie władzę królewską. Powrócono do tradycyi narodowej pogardzonej przez Karola II. prześladowanej przez jego brata, była to tradycya wolności. Czytając dzieje Henryka VIII. lub dumnej Elżbiety, nie widzimy bynajmniej aby Anglia była mniej poddańczą niż ląd stały. Pojęcia czasu i konieczność oporu przeciw monarchii hiszpańskiej ześrodkowały władzę w rękach jednego pana, lecz pod tym despotyzmem cierpianym jako obrona niepodległości i wielkości narodowej zachował się stary duch saski. Pojęcia i prawa rzymskie nigdy nie przeniknęły do Anglii, wolność była w niej przytłumioną, ale nie zniszczoną. Niezależność gmin, jury cywilna i karna, parlament, udział w uchwalaniu podatków nie są w Anglii świeżemi nabytkami i nie mają daty. Wszystko to ustanawia *common law*, innemi słowy, są to obyczaje przyniesione przez Sasów do Wielkiej Brytanii, obyczaje, których rozwój kilkakrotnie bywał opóźniany, lecz które nigdy żyć nie przestały. To nam tłumaczy zjawisko, że Anglia w roku 1688 odzyskawszy sama siebie, wzniosła bez zbytnich wstrząśnień ten rząd wolny, który ją postawił na czele cywilizacyi.

Rewolucya 1688 roku miała polityka swojego w osobie Locka. Czytając *traktat o rządzie cywilnym* trudno uwierzyć, że autor tej książki był współczesnym Bossueta. Locke myśli i pisze, jak filozofowie francuscy drugiej połowy ośmnastego wieku. Posiada on więcej niż oni zdrowego rozsądku i umiarkowania polegającego na doświadczeniu, dwa przymioty, których w ogóle brakowało francuskim teoretykom. Dla Locke'a społeczeństwo cywilne jest umową, na mocy której każdy człowiek zrzeka się pewnej części przyrodzonej niezależności, w celu używania w spokoju, w osobie obywatela zachowanej przezeń wolności. Z tego wypływa, że państwo nie jest wszystkiem. Jest ono ustanowione w pewnym celu, który polega na zachowaniu własności, tj. tego, co każdy posiada jako własność: życia, wolności, majątku. Rzeczy te nie są wynikiem dozwolenia władzy, należą one do nas jako do ludzi, są to prawa przyrodzone, których zrzec się nie możemy. Panujący, naruszając te swobody, gwałci umowę, na której się opiera jego władza, a tem samem zwalnia poddanych od posłuszeństwa: powstanie jest *ultima ratio* narodów, których tyrania pozbawiła praw. Nie tutaj miejsce rozbierać system posiadający nie jedną słabą stronę, czego jednak nie można zaprzeczyć Locke'owi, to zasługi otwartego wygłoszenia zasady, że władza publiczna posiada granice, i że jeżeli do państwa należy władza zwierzchnia, to z tego bynajmniej nie wypływa, aby władza ta była nieograniczoną.

Godnym uwagi jest wpływ pojęć angielskich na Francyą w ośmnastym wieku. Dwaj najwięksi publicyści francuscy, Voltaire i Montesquieu zapożyczyli od Locke'a, lub przenieśli z Wielkiej Brytanii najśmielsze swe poglądy. Zwątpienie religijne i zwątpienie polityczne przychodziły jednocześnie z Anglii, od powątpiewania zaś zaczynają się wszelkie reformy. Zmiana spraw ludzkich jest tylko materyalnym wyrazem zmiany pojęć.

Voltaire przywiązał się do dwu szlachetnych spraw: tolerancyi i ludzkości. Jeżeli protestanci powrócili do wielkiej rodziny narodowej, jeśli tortury i męki wykreślono z naszych praw, zawdzięczamy to obrońcy Sirvena, de la Barre'a i de Calas'a. Jest to jeden z ważniejszych jego tytułów do czci u potomności. Lecz te reformy karne, których Voltaire domagał się z takim rozsądkiem i namiętnością, to nowe zwycięztwo odniesione na nieograniczonem prawie panującego, to nowe usiłowania otoczenia władzy cywilnej granicami, których nigdy przestąpić nie powinna. Luter wyrwał z rąk państwa sumienie ludzkie, Voltaire zaś ciało obywatela. Było to niepomiernem zwycięztwem. Ustawy karne zawsze w ścisłym pozostają związku z ustrojem państwa. W Rzymie za Rzeczypospolitej były one łagodne i opiekuńcze, za cesarstwa stały się srogiemi i krwiożerczemi. W kraju wolnym, oskarżony uważany jest za niewinnego aż do chwili wydania wyroku; w kraju despotycznym, oskarżony, od chwili ujęcia go przez policyą jest już winowajcą. Względy, na jakie zasługuje nieszczęście, święte prawo obrony, wszystko znika wobec interesu państwa. Złagodzić ustawy karne, uczynić jawnem postępowanie sądowe, skłonić sędziów do zaopiekowania się losem oskarżonego; oto najświętsze zadania, którym może się poświęcić przyjaciel ludzkości. Sprawdzianem rzeczywistej wielkości cywilizacyi jest poszanowanie osobistości.

Monteskiusz po dwuletnim pobycie w Anglii powrócił silnie wzruszony tem, co tam widział; dla tego też czytając jego „Ducha praw,“

czujemy, że pisząc miał ciągle przed oczyma konstytucyą angielską. Dla Francuza ośmnastego wieku, wieku, w którym zajmowano się rządem na to tylko, aby go wyszydzić, wyśmiać w piosenkach, dziwny przedstawiał widok kraj, w którym *blacharz kazał sobie przynosić na dach gazetę w celu przeczytania takowej.**) Stronnice, na których Monteskiusz objaśnia czynności władz publicznych w Anglii, są najsprawiedliwsze i najgłębiej pomyślane. Jeden z najlepszych prawników Wielkiej Brytanii, Blackstone, chcąc wyjaśnić Anglikom własny ich rząd, trzyma się Monteskiusza. W „Duchu praw“ nie jeden rozdział niemniejsze ma znaczenie od *konstytucyi angielskiej;* to ostatnie atoli dzieło wkrótce rozwinięte i ułożone przez Delolme'a szczególniejszą pozyskało wziętość. Niejednokrotnie wywierało ono widoczny wpływ na losy polityczne Francyi. Wpływ ten miał, być może, pewne niedogodności, pospieszam wszakże dopowiedzieć, iż nie było to winą Monteskiusza.

Zajmując się badaniem „Ducha praw,“ widzimy, że autor uważa politykę za jedno z najbardziej zawiłych zagadnień, i że następnie z kolei odnajduje wszystkie jego dane. „Prawa, powiada on**), powinny uwzględnić warunki fizyczne kraju, klimat własności gleby, jej położenie i obszar, rodzaj życia narodu, powinny one stosować się do stopnia wolności, na jaką układ polityczny dozwala, do religii mieszkańców, do ich skłonności, zamożności, liczby, handlu, do obyczajów i zwyczajów. Nakoniec prawa mają wzajemny między sobą związek; wiążą się również ze swem pochodzeniem, z zamiarem prawodawcy, wreszcie z powszechnym porządkiem rzeczy, wśród którego powstały. Przeto ze wszystkich powyższych względów rozważane być winny. Właśnie zamierzam to uczynić w niniejszem dziele. Zbadam wszystkie te stosunki; wszystkie one razem wzięte tworzą to, co nazywamy *duchem praw.*“

Nic jaśniejszego nad to oświadczenie, lecz współcześni Monteskiusza nie odznaczali się tak wysoką inteligencyą. Olśnieni zewnętrznym blaskiem konstytucyi angielskiej, uwiedzeni niezwykłym mechanizmem, którego działanie i tajemnicę im wytłómaczono, przedewszystkiem zaś pochopni do gorączkowego działania, pominęli wszystkie te swobody osobiste i miejscowe, które są właśnie podstawą urządzeń angielskich. Sądzili, że dość jest zapożyczyć od Anglii jej politycznego ustroju, aby zapożyczyć także jej geniuszu i rozszerzyć wolność na lądzie stałym. Było to błędem najmędrszych twórców konstytucyi, było to złudzeniem autora kasty, a następnie stronnictwa liberalnego. Wszyscy powoływali się na Monteskiusza i mieli słuszność, lecz należało go przeniknąć do głębi i nie brać fasady za całą budowę.

Obok szkoły angielskiej, której przedstawicielami są Voltaire, Monteskiusz i Delolme, istniała szkoła francuska, która z innej strony nacierała na despotyzm państwa. Mam tu na myśli szkołę fizyokratów. Nie znaczy to, aby Quesnay lub Turgot zazdrościli władzy, przeciwnie, od panującego wyczekują oni reformy, wykorzenienia nadużyć i lepszego rządzenia społeczeństwem. Lecz w jednym ważnym punkcie napadają oni na wszechwładzę państwa. Żądają wolności rolnictwa i handlu wraz z reformą podatkową. Dewizą ich, z której często szydzono, (bo łatwiej szydzić niż zrozumieć), jest *laissez faire, laissez passer.* Zastosowana do pracy narodowej, dewiza ta odznacza się zupełną słusznością. Quesnay nie zaprzecza państwu ani prawa obrony kraju na zewnątrz, ani utrzymania porządku i bezpieczeństwa wewnątrz. Nie targuje się z władzą o jej przywileje, jak to czyni szkoła Adama Smitha, lecz co się tyczy przemysłu, nie ufa on zarządowi i ma słuszność. Prawie zawsze ten ostatni tamuje go, i nawet tam gdzie pragnie niby popierać, najczęściej tylko szkodzi. Przytoczę tu ciekawy tego przykład na dawniejszej Francyi. Wiadomo wszystkim, że za panowania Ludwika XVI. Parmentier upowszechnił uprawę ziemniaków; temu to zacnemu człowiekowi, jego usiłowaniom, poświęceniom, zawdzięczamy ten cenny środek zaradczy na głód. Lecz ziemniaki sprowadzone były do Europy w końcu XVI. wieku, dla czego więc potrzeba było aż dwu stuleci aby się przekonano o ich użyteczności? Co się tyczy Francyi, to odpowiedź łatwa: zaraz po sprowadzeniu ich ówcześni lekarze utrzymywali, że ziemniaki sprowadzają trąd, w siedmnastym zaś wieku miały one powodować zimnicę. Zawsze światły zarząd zwykł był powodować się wskazówkami lekarzy, nie przestawał przeto opiekować się zdrowiem publicznem i bronić go od urojonego niebezpieczeństwa aż do roku 1771, gdy zdanie fakultetu uspokoiło nareszcie umysły.*) My uważamy się za mędrszych, a czyliż to dawno temu jak pewien sławny marszałek wygłosił, że dla naszego rolnictwa najazd nieprzyjaciół byłby mniej niszczącym, aniżeli wprowadzenie zagranicznych baranów? Jednak pomimo tej groźby, krótkie doświadczenie pokazało najbardziej zaślepionym, że była przynajmniej jedna wolność, którą Francya mogła znosić bez strachu i zniszczenia, wolność rzezi.

Jakimkolwiek był ich szacunek dla władzy, Quesnay i uczniowie jego domagali się jednak jednej wolności płodnej w następstwa, i będącej w związku ze wszystkiemi innemi. Odkąd chcemy oszczędzić pracę i dostatek, czyż nie potrzeba nam rękojmi przeciw nadmiernym wydatkom państwa, przeciw szaleństwom wojny lub pokoju? Czem są te rękojmie, jeśli nie wolnością polityczną? Reformy Turgota, zgromadzenia prowincyonalne Nekera były pierwszą próbą wyswobodzenia, którą rewolucya zniszczyła w jej rozkwicie, lecz o której niesłusznemby było zapomnieć. Czytajmy protokoły tych zgromadzeń, a zobaczymy z jakim zapałem duchowieństwo, szlachta i stan średni zajęły się rozmaitemi ulepszeniami w położeniu narodu: zniesieniem pańszczyzny, stłumieniem żebractwa, gościńcami, kanałami, oświatą publiczną, i wszystkie te pytania rozstrzygano z godną podziwu wspaniałomyślnością. Powiadają, że Francya nie umie używać swej wolności, prawda, że często zachowywała się bardzo obojętnie, gdy szło o jej przywileje wyborcze, które jej żadnych prawie nie przynosiły korzyści; lecz ilekroć prowincyi jakiejś, departamentowi, lub gminie poruczono staranie o własnych sprawach, nie mogę zauważyć, aby kraj miał się okazać obojętnym lub niezdolnym. Turgot i Necker dobrze nas poznali kładąc wolność za podstawę budowy, — do niej za tem trzeba się ciągle zwracać.

W przeddzień 1789 r. byli we Francyi ludzie światli, uczniowie Voltaire'a, Monteskiusza lub Turgota, którzy z różnych wychodząc stanowisk, to mieli ze sobą wspólnego, że odczuwali konieczność ograniczenia władzy państwa. Lecz niestety, obok tej szkoły liberalnej rozrastało się stronnictwo czerwone, które brało za jedno władzę ludu z wolnością, i gotowe było poświęcić wszystkie prawa dla zwierzchnictwa ludowego. Stronnictwo to, któremu sądzono było zwyciężyć, łączyło się z Janem Jakóbem Rousseau.

Czytając z zimniejszą rozwagą *Umowę Społeczną* lub mrzonki zacnego Mably, mrzonki tego samego pochodzenia co i *Umowa Społeczna,* zadajemy sobie pytanie, w jaki sposób nowocześni dali się unieść tym naśladowaniom starożytności, tym płytkim mędrkowaniom. Jednak rzecz to widoczna, że doktryna Russa jakkolwiek jest kłamliwą, nic nie straciła ze swego wpływu. Spotykamy ją na dnie wszystkich rewolucyi francuskich, jest to zawsze ta teorya pogańska: wolność — to zwierzchnictwo, prawo — to wola narodu. (C. d. n.)

*) Montesquieu Notes sur l' Angleterre.

**) Esprit des Lois, livre 1, chap. II.

*) Szczegóły te czerpię z dziełka Cuviera: *l' Eloge de Parmentier.*

WRAŻENIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD*)

przez

J. z T. T-R.

Pomimo stałego i naprzód powziętego przedsięwzięcia, dopiero po kilkokrotnem *„tak* i *nie“*, z drżeniem, przystąpiliśmy do bióra Lloyda w Tryeście i mając już w ręku bilety do Aleksandryi, należało odrzucić wszelkie skrupuły i obawy.

Natychmiast poszliśmy zapoznać się ze statkiem i kajutą, w której pięć dni i nocy przeżyć miałam i zjednać sobie zarazem służbę okrętową, za pośrednictwem której można o wiele wygodniej i swobodniej urządzić się na statku. O godzinie 12tej w nocy nasza „Ceres“ tak spokojnie zaczęła się usuwać od brzegu, iż dopiero tracąc z oczu światełka domów nadbrzeżnych spostrzegłam, iż jestem na pełnem morzu. Znużona, udałam się na spoczynek do mej komnatki, mającej zaledwie wzdłuż i wszerz sześć kroków. Przez pierwsze dwa dni nie opuszczałam pokładu, nie mogąc się nasycić widokiem wspaniałego przestworza; po lewej, rysowały się brzegi Dalmacyi z jej wyspą Lissą, sławną zwycięztwem admirała Tegethofa, dalej brzegi Albanii, po prawej piękna Italia, z idealnie uroczą wyspą Korfu, Paro, dziko skalistą Sta Maura i Itaka, ojczyzna Ulissessa, nareszcie Kiefalonia, Zante i brzegi Grecyi. Tu począł mię entuzyazm opuszczać — wiatry dmące od Archipelagu, koło Kandyi (Crety) deszcz ze śniegiem, tak zwełniły morze, iż prawie wszyscy podróżni musieli się pochować do kajut i poddać niestety niemiłosiernej i męczącej morskiej chorobie. Fale bijące wysoko nad pokład, podrzucały jak piłką nasz statek; padające naczynia, krzesełka, skrzypienie walczącego z falami okrętu, i ciężki oddech machiny parowej z wysiłkiem pracującej, niemiłe robiły wrażenie, nawet przywykłym majtkom wyrywały się wyrazy *„Cativo maladetto tempo“* tylko kucharz restauracyi okrętowej był zadowolony, bo słabi pasażerowie nie wiele nadwerężali jego zapasy spiżarniane. Dopiero ostatniego dnia zdołaliśmy się zgromadzić przy wie-

*) Rodaczki nasze tak rzadko wychylają się po za granice swego ogniska domowego, że nie bez interesu zapewne będą dla nich te notatki z podróży po dalekim Wschodzie, skreślone ręką Polki, pani T. z Galicyi. (Prz. Red.)

czerzy i pomimo pięciu odmiennych narodowości, jak Amerykanów, Słowian, Francuzów, Niemców i jednego Węgra, dziwnie serdeczne zagrzmiały toasty na cześć tych narodów, nadewszystko na cześć Stanów zjednoczonych, co nawzajem pobudziło Amerykanów do pięknej dziękczynnej mowy z życzeniami rozwoju ludów słowiańskich. Węgier wesołego usposobienia przyśpiewywał i utyskiwał na brak fortepianu, mając ochotę do kilku hołubców „Narodnego drgacza", jak słowieńcy południowi czardasza nazywają. Nazajutrz przy wschodzącem słońcu, ale o innych barwach jak na północy, ukazał się gród Aleksandra Wielkiego. Jeszcze nie zarzucono kotwicy, a już gromadami rzuciły się łódki z brzegu po podróżnych; smagławi Arabowie, czarni murzyni, z ohydnemi fizyognomiami, przytem pstrokacizna stroju, rozmaitość języków, hałas nie do opisania, w istne otumanienie wprowadzają pierwszy raz przybywającego, a tu właśnie potrzeba największej przytomności umysłu, bo szarpią kuferki, porywają na ręce i rzucają mimowoli ich właścicieli na czółno. Pierwszy człowiek, członek komisyi sanitarnej, który na ziemi afrykańskiej przemówił do nas, był Polakiem, uwiadomił nas, iż wice-konsul w Aleksandryi jest również Polakiem, St. Wysocki, rodem z Krakowa, ze wskazówek którego tak w Aleksandryi jak i w dalszej drodze korzystaliśmy wiele. Przy wylądowaniu odbierają paszporta i odbywa się niby to jakaś rewizya, która dzięki magicznemu wpływowi rzuconego przez nas słówka „Bakczis", ograniczyła się do form nader delikatnych.

Wstąpiliśmy wreszcie na ląd portu aleksandryjskiego. Hotele urządzone zupełnie po europejsku, wygody wszelkie, język włoski przeważnie panujący... Miasto, jak wszystkie wschodnie o płaskich dachach, co nadaje mu pozór niedokończonych budowli, rozsiadło się romantycznie wśród palm, cyprysów, bananów i kaktusów; róże w styczniu już w pełnym kwiecie, i inne kwiaty, które w oranżeryach naszych Bóg wie kiedy rozkwitną! Jedyna czyściejsza i szeroka ulica zwana „quartier franc", przepełniona jest europejskimi sklepami, prócz tej, wszędzie brud i ciasnota coś na podobieństwo zaułków w naszych żydowskich miasteczkach; wśród ulic i placów porozrzucane nagrobki świętych, w koło których jako w dnie trwającego właśnie Bayramu, całymi obozami spoczywali Arabowie, modląc się i pożywiając. Koło jednego szczególniej cisnęło się mnóstwo kobiet. Ciekawość przywiodła mię bliżej i ujrzałam zwykły kwadrat murowany, otoczony sztachetami, pokrytymi milionem loków i zwitków włosów. To kobiety nie mające dzieci, (a ma to być wielkiem upokorzeniem u Arabów), ofiarują spoczywającemu na tem miejscu świętemu najdroższe swoje ozdoby dla ubłagania łaski i pożądanego im pobłogosławieństwa, inne już z niemowlętami na ręku, składają dzięki skutecznemu wpływowi „tureckiego świętego".

Ze starożytnych pomników sztuki, pozostały tylko dwa obeliski, zwane igłami Kleopatry,*) oba z czerwonego granitu, całe zapisane hieroglifami, jako nieme świadki wielkiej i wspaniałej przeszłości wschodu. Na rozległym zaś pagórku za miastem, wznosi się kolumna zwana kolumną Pompejusza, lecz wśród napisów znajdujących się na niej, imie Dyoklecyana dowodzi, że na cześć tego cesarza była postawioną. Wysokość jej sięga 98 stóp, a objętość równie proporcyonalna skoro na jej szczycie Napoleon I. w otoczeniu swej świty wygodnie miał jeść śniadanie, wedle podania Arabów.

*) Jeden z nich, znajduje się już w Londynie.

W ostatnich kilku latach zbudowano miniaturową kolej, o małych eleganckich wagonikach, na przestrzeni jedno milowej, w puszczy okalającej Aleksandryą, gdzie wśród piasków kapryśna fantazya Kediva, rozkazała zakładać ogrody i wznieść pałac, w około którego ugrupowały się prześliczne wille bogatych greckich bankierów, najczęściej w stylu arabskim i renaissance; cała ta przestrzeń kolei nazwana Ramleh, ma kilkanaście stacyi i przejeżdża się nią jedynie tylko dla podziwienia tak cudownie przeobrażonej pustyni. Wszędzie tu — wśród tego bezbrzeżnego oceanu gorącego piasku, znać nieustanną pracę. Roboty nad przekopem bocznych kanałów, mających na celu sprowadzenie słodkiej wody Nilu, dla podsycania sztucznej zieloności pustyni, raźno postępują. Korzystałam też ze zdarzającej mi się sposobności, poznania wnętrza jednego z prywatnych pałaców Krezusa Greka. Na samym wstępie uderzył nas już w otwartym przedsionku, przepych i elegancya: sztukaterye, freski, świeczniki lśniące złotem, w głębi basen z wodotryskiem, ukryty wśród najrzadszych kwiatów tropikalnych, gdy wtem stojący we drzwiach jakiś wiekowy, po europejsku ubrany jegomość, jakeśmy później poznali, gospodarz tego domu, zaprasza nas grzecznie do środka, oprowadza po zbytkownych salonach, szczyci się ustawionym tronem dla vice-króla, na pamiątkę, że raczył zaszczycić bal ostatni swą osobą; przedstawia żonę swą o pięknych rysach Greczynkę i córkę, miłą panienkę, obie bardzo ładnie mówiące po francusku. I któż uwierzy, iż ów dziś tak gładki Grek był przed 40tu laty furmanem i pracą doszedł do 60 milionowego majątku. Co to może wytrwałość i praca — a i szczęście potrosze!

Czwartego dnia podążyliśmy do Kairo, oddalonego od Aleksandryi o ośm godzin jazdy koleją. Nadaremnie szuka tu oko comfortu i świeżości w dworcach; sążniste okna wagonów powybijane, tapety wiszące, siedzenia obdarte, na drodze żadnej rogatki (rampy) dowolnie wszyscy przechodzą, karawany usuwają się dopiero, słysząc świst zbliżającej się lokomotywy, a przecie nigdy nie wydarzają się żadne wypadki! Stacye zawsze przepełnione ciekawem pospólstwem, wskakującem prawie do wagonów z koszami pomarańcz i z pękami trzciny cukrowej, w której nadzwyczaj gustują Arabowie, a jedzą je a raczej wysysają krając na drobne kawałki i lubując w jej mdłym i łykowatym smaku. Po bokach drogi kolejowej, plantacye bawełny, indyga i ryżu, w pewnych odstępach urządzone cysterny, do których woda zbiera się z kanałów Nilowych, za pomocą koła obracanego przez wielbłąda lub bawoła. Dwoje ludzi przy akompaniamencie monotonnego śpiewu, nabierają wody w rodzaj koszów wylewają potem na łany, zasiane nadewszystko ryżem, który dopokąd nie zejdzie, wymaga wysoko na parę cali stojącej nad sobą wody. Dosyć gęsto rozsiane wioski urozmaicają krajobraz, w ramach z wysmukłych palm i bogato wijących się roślin z wznoszącym się gdzieniegdzie minarecikiem... Naga tylko dziatwa, uwijająca się pod nogami i napastująca przechodniów pisklitym „Hoaga bakczis" (panie podaruj co), psuje na długo humor i zmusza do opryskliwości, a często do użycia trzcinki, by się od tego natręctwa uwolnić.

Na jednej stacyi rozczulająca przedstawiła mi się scena: zabierano rekrutów, których tu na całe życie odrywają od rodziny... Jęk i płacz matek, zawodzenie sióstr i kochanek, giesta pożegnawcze, łkanie tak przeraźliwe, jak gdyby gromada puszczyków wyprawiała swój grobowy koncert, wszystko to tak denerwuje i boleśnie oddziaływa, że aż się serce kraje od żalu i współczucia nad losem tych nieszczęśliwych. W chórze jęków i zawodzeń, przebijają jakieś dzikie i jakby z głębi wnętrzności wydobyte głosy — jakieś monosylaby, jakieś tworzone bolem westchnienia, które trudno bliżej określić. Kedyw Egiptu potrzebuje wciąż nowego wojska, prowadzi bowiem nieustanną wojnę, podbija dzikie kraje na południu aż za Assuanem... W Egipcie zaś bawi się w cywilizatora, wszelkich sił i starań dokładając do upiękniania pustyni. Tymczasem lud zostaje bez żadnych praw i opieki, bo gdy kedywowi brakuje grosza na budowę pałaców, stawianie fabryk, rozprzestrzenianie miast i t. p., to wpół nadzy Fellachowie muszą mu go dostarczyć, gdyż inaczej gwałtem wydziera. Gdybyż to jeszcze te jego plany były z pożytkiem dla kraju; ale gdzie tam! zbudował np. kolej do Suez, kosztującą kilkadziesiąt milionów, która stoi dziś bezpożytecznie, gdyż piaski, bardzo naturalne w pustyni o których przedtem nie pomyślano, zawiewają ją każdego roku coraz to rosnącą warstwą. Na kilka mil przed Kairo ukazują się piramidy. Dojeżdżając przed paru laty do Rzymu, równego jak tu doznałam uczucia, trwogi, ujrzawszy kopułę św. Piotra, zdobiącą największą świątynię chrześciańską. Lecz jeśli budową tamtej kierowała ręka aniołów, to tu despotyzm położył tak wybitne piętno krwi i potu ludzkiego — że na pierwszy widok tych olbrzymów, uczucie wprost jest pognębiające. (C. d. n.

TRZY BITWY I ŚMIERĆ WODZA.

IV. Śmierć Giełguda.

Po bitwie pod Szawlami na naradzie wojennej w Kurszanach zadecydowano było przejść przez granicę pruską i złożyć tam broń. Jeden Dembiński z oddziałkiem swoim oddzielił się od armii polskiej, pospiesznymi marszami skierował się mimo Szawel na Poniewież i wkrótce stanął na tyłach armii moskiewskiej pędzącej się za Giełgudem. Zostawmy tego mężnego partyzanta, a obaczmy co się działo w oddziałach Rolanda i Chłapowskiego, cofających się na zachód.

Kolumna Chłapowskiego składała się z 3 batalionów 2 pułku strzelców, z 2 batalionów trzeciego pułku strzelców, z kompanii 1go pułku strzelców, z 4 szwadronów 1 ułańskiego pułku, szwadronu kaliskiej jazdy oddziałów konnych Staniewicza i Guberowicza (700 żmudzkiej kawaleryi) 8 ciężkich i 2 lekkich dział. Razem około 4 tysięcy ludzi.

Kolumna Rolanda zawierała: 3 bataliony 7 liniowego, 2 bat. 19 liniowego; 1 bat. 4 liniowego pułków, Zmudzką piechotę Szemiota, 12 szwadronów kawaleryi, 7 dział ciężkiej i 8 dział lekkiej artyleryi, a razem około 5 tysięcy ludzi.

Ponieważ żołnierzom powiedziano, iż prowadzą ich do Polski, otucha i radość malowały się na ich twarzach. Zmęczeni, upadli na duchu z powodu klęsk poprzednich żołnierze poweseleli: „do Polski, do Polski"—wołano wszędzie, spiesząc jak można dalej pozostawić za sobą Moskali,

których powolne posuwanie uratowało ekspedycyjny korpus Giełguda od niewoli.

Chłapowski i Roland z Kurszan wyruszyli do Łuknik. Chłapowski mając wojska lekkie, szedł na przedzie i niedochodząc do miasteczka zatrzymał się dla odpoczynku. Roland zaś pozostał z tyłu, gdyż z powodu ogromnego obozu rannych i Litwinów skompromitowanych w powstaniu, ruch kolumny jego był bardzo powolny.

Wieczorem gdy kolumna Chłapowskiego odpoczywała, do oddziału jego przyjechał Giełgud. Chłapowski chociaż wiedział, że on przyjedzie, pojmując jednak, iż obecność tego znienawidzonego człowieka obudzi ogólne niezadowolenie, zaczął przed sztabem swym odzywać się, że to jest zupełna niespodzianka, bardzo przykra dla niego; żeby zaś uniknąć szemrania stał się niezmiernie zimnym dla Giełguda, a towarzyskim i popularnym z oficerami i żołnierzami, czego poprzednio nie było nigdy.

Ze względu, że w oddziale było wielu rannych, Chłapowski dla przyspieszenia marszu korpusiku swego kazał ciężkorannych porzucić na drodze, na los szczęścia, a wszystkie zbyteczne fury w obozie połamać i zrobić nieużytecznemi, żeby nie mogły służyć Moskalom. Jackowski w pamiętnikach swoich pisze: „serce krwią się oblewało na widok nieszczęśliwych, zostawionych na drodze i skazanych na śmierć głodową. Biedni ci wzywali o litość dowódców i towarzyszów broni, lecz napróżno, bo Chłapowski rozkazał ich rzucić. Mniej słabi, robiąc nadludzkie wysiłki, pełzli po drodze w tę stronę dokąd poszedł ich nieludzki naczelnik, bojąc się dostać do rąk kozaków. Las tylko echem odpowiadał na jęki mężnych żołnierzy, którzy życie swe nieśli w ofierze za ojczyznę. Jenerałowie zaś jechali w karetach. Zniszczywszy do 100 wozów Chłapowski zostawił jednak swoją kuchnię obozową i nie zmniejszył obozu wiozącego jego własne rzeczy.“ (str. 177).

Ten postępek Chłapowskiego bardzo przygnębiająco podziałał na żołnierzy, gdyż każdy pojmował, że najniewinniejsza rana nie pozwalająca iść, pociągnie za sobą niewolę, lub śmierć z głodu; dla tego też wszyscy bali się zetknięcia z wrogiem i tylko pragnęli jak najprędzej wyjść z tego okropnego położenia, w którem żołnierze wolności mimowoli stawali się tchórzami.

Sądząc, że w Łuknikach mogą być Moskale, Chłapowski obszedł miasteczko w nocy i 10 lipca przez Chwałajnie i Wornie doszedł do Żoran. Ruch ten został dokonany w największej cichości. Bojąc się odkryć przed nieprzyjacielem kierunek swój, generał zabronił mówić żołnierzom i palić fajki, lecz nie widząc nigdzie ani przed sobą ani za sobą nieprzyjaciela, zdecydował się dać dłuższy odpoczynek zmęczonym swym wojskom.

Roland dążąc za Chłapowskim, znalazłszy rannych rzuconych na drodze, kazał ich zebrać i odwiózł do Użwent. Tu przyłączył się do niego oddział pułkownika Kosa (1200 ludzi), który prawie cudem uratował się przed otaczającym go oddziałem Sakena i przybył przypadkowo, nie spodziewając się tu znaleść swoich. Żołnierze oddziału jego płakali z radości i obejmowali towarzyszy, których nie mieli nadziei spotkać nigdy. Z Użwent Roland poszedł do Powendenia i tam dał oddziałowi swemu odpoczynek.

10 lipca rozkład wojsk moskiewskich na teatrze wojny był następujący: 1) awangarda głównych sił pod dowództwem generała Ofenbergera, pułk ułanów, 40 kozaków i 2 działa konnej artyleryi doszła do miasteczka Słobodki za Kurszanami; 2) za nim nadciągały główne siły; 3) Saken z oddziałem swoim znajdował się w Niemoksztach; 4) Generał Szyrman między Telszami i Połągą; 5) Generał Knorring w Cytowianach oczyszczał lasy z powstańców; 6) Kabłuków w Śmilgiach niedaleko od Szawel; 7) Dylinshauzen zaś w Kurszanach, gdzie dowiedział się o rozdzieleniu sił polskich i o ruchu Dembińskiego na wschód.

W Żozanach do Chłapowskiego przybył Jacewicz z 1500 powstańców telszewskiego powiatu z prośbą przyjąć ich pod swoje dowództwo. Chłapowski zamknął się w pomieszkaniu swojem i nie przyjmował nikogo. Jacewicz zwrócił się do Giełguda, a że ten jadł obiad ze świtą swoją, niechciał więc zajmować się żadnemi sprawami. W kilka godzin potem przybył Jacewicz znowu, lecz i teraz nie wpuszczono go, bo Giełgud czytał gazety. O 2 w nocy, ze strony Powendenia usłyszano strzały artyleryi i piechoty. Jacewicz znowu rzucił się do Giełguda i znalazł go zadumanego, chodzącego po podwórzu domu, gdzie miał pomieszkanie. „Generale, rzekł do niego dowódca oddziału powstańczego, przybyłem prosić o przyjęcie oddziału mego pod twe dowództwo, lecz widząc upadek ducha w pańskiej armii przekonywam się, że ludzie moi nie przyniosą żadnej korzyści, dla tego też zapytuję pana generała co pan zamyślasz robić i dokąd ja mam iść?“

— Pójdę jak można najdalej od nieprzyjaciela, odrzekł Giełgud, a jeżeli mnie przeszkodzą wejść do Polski, to przekroczę pruską granicę.

— „Czy nie korzystniej będzie dla polskiej armii podzielić cały oddział na małe części, rzucić się w lasy, podtrzymać powstanie na Żmudzi i na Litwie, i tym sposobem wstrzymać znaczne moskiewskie siły w oddaleniu od głównego teatru wojny.

— „Plan pański dobry i zupełnie podzielam zdanie pańskie, lecz nie dowodzę już niczem, bo jestem głównym dowódcą tylko nominalnie. Idź pan do Chłapowskiego i pomów z nim, on panu powie, co masz zrobić z oddziałem swoim.“

Jacewicz pożegnał się i poszedł do Chłapowskiego, lecz znowu nie był przyjęty, bo generał pisał rozkaz dzienny. Pobiegł więc znowu do Giełguda, lecz Giełgud siadł do karety i pojechał naprzód.

W tej chwili oddział Chłapowskiego wystąpił w drogę. W poszarpanem odzieniu i obówiu, zdemoralizowani i smutni żołnierze, przechodząc mimo powstańców żmudzkich, mówili: „widzicie w jakim my stanie, my zginiemy bez wątpienia i was czeka ten sam los, jeżeli przyłączycie się do nas; idźcie lepiej do domu.“ Jacewicz poprowadził powstańców swoich w rodzinne lasy, a następnie zapłakawszy wspólnie z nimi nad nieszczęściem kraju, pożegnał ich i kazał im iść do domu. (C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka Wenecka.

(*Ciąg dalszy.*)

Gzyms bronzowy oddzielił mury od sklepień. Gzyms ten służy ku wyraźnemu odgraniczeniu części, których proporcye bardzo harmonijne, a dźwigany przez również bronzowe, nieżłobkowane, w trzeciej części do bielonych ścian wmurowane korynckie kolumny, podobnież w bardzo harmonijnych odległościach z rzadka poumieszczane.

W głębi, nad wielkim ołtarzem wystawiono bramkę opartą o dwie małe kolumny korynckie, a w bramie zawieszono czerwoną firankę.

I oto opis kościoła pełnego wzniosłej lecz teatralnej prostoty. Wszystko wzniosłe, bo przestworne i potężne — bo pilastry dobrze lotność udają — a kopuła istotną abstrakcyjną lotność nadaje budowie. Wszystko proste, bo ozdób mało, i budowa do zbytku surowa. Wszystko teatralne wreszcie, bo to co jedyną ozdobę zimnego gmachu stanowi, owe wmurowane kolumny, nie ma nic wspólnego z istotą gmachu; bo kolumny owe tylko gzyms dźwigają, i ty to mimowoli czujesz. Wszystko tu proste, mimo bogatych korynckich głownic, wszystko wzniosłe mimo ciężkich a zimnych krągłych łuków, a wszystko teatralne mimo chłodu i nagości.

Facyata posiada i prostotę i ornamentacyjny charakter całego kościoła. Rozpada się ona w pomyśle na trzy części. Środkowa największa pokryta typem przyczołkiem. Obie boczne o wiele niższe, mają nad sobą tylko połowy przyczołków, przytykających prostym kątem do ścian kościoła. Owe boczne ściany z przyczołkami swymi trochę w tył usunięte.

Wszystko to ustawione w szlachetnych proporcyach wyraża doskonale prosty układ wnętrza. Wszystkiemu możnaby zarzucić trzeźwość zbyteczną i mroźny chłód, gdyby nie ornamentyka, raz jeszcze teatralna i raz jeszcze wspaniale i po prostu obmyślana.

I ornamentyka facyaty odpowiada ornamentyce wnętrza. Gzyms — ale tu biały już — otacza wszystkie przyczołki. Gzyms ten dźwigany przez belkowanie korynckie, a belkowanie przez takież niežłobkowane półkolumny — i wszystko powtórzyło się jak na wewnątrz. Kolumn przymurowanych jest tu tylko cztery — po dwie z każdej strony wchodu, u głównej facyaty środkowej. Boczne przyczołki oparte tylko o zupełnie płaskie i rysowane tylko pilastry uchodzące uwagi widza. Przeto i na zewnątrz część odpowiadająca bocznym kaplicom usunięta w głąb. Przeto i na zewnątrz tylko okazały prostotą główny front patrzy na widza.

Dodać jeszcze należy, że kolumny głównego frontu stoją na bardzo wysokich podstawach i że posągi z wenecka u rogów przyczołków ustawione. Zresztą wzory i napisy na murach umieszczone nie mają prawie wpływu na wejrzenie facyaty, która, mimo teatralnego trochę układu, jest po facyacie pizańskiej najszczęśliwszym na ziemi włoskiej rozwiązaniem, najtrudniejszego może w budownictwie zadania.

Palladio utorował drogę architekturze *barocco*. Lubiał wielkie i nadzwyczaj proste masy murów tworzących jak najprostszy i ubogi nawet organizm; szukał za ładem i przestwornością poświęcając im życie i rozmaitość. Nie podobny w tym do Rzymian starożytnych i do ogółu Wenecyan, nie chciał ćmić bogactwem i barwą, ale był zmuszony za pomocą ornamentów urozmaicać zbyt jednostajne budowy. Używał tedy ozdób, ale trzeźwo, w miarę i szlachetnie.

W kilkadziesiąt lat później dociągnął jego myśl do ostatecznych konsekwencyi mistrz weneckiego barokizmu *Longhena*, który w siedmna-

stym wieku stawiał zupełnie jednostajne mury nakryte rojem dziwnych ozdób.

U samego końca Wenecyi, nie daleko *Fondacca dei Turchi*, dźwignął on kościół Santa Maria dei Scalzi. Facyatą jego jest zupełnie jednostajny w treści mur, dwa razy tak wysoki jak szeroki, pozbawiony okien i przyczołków, z kwadratowemi drzwiami u dołu. Mur ten jako budynek wprost brzydki, ale ustrojony w migotną dekoracyą. Wbudowano do niego ośm półkolumn, które dźwigają na korynckich głownicach, korynckí fryz, a nad fryzem mnogie posągi. Czuje się, widzi się, że te nieżłóbkowane kolumny nic nie dźwigają i że są kłamstwem tylko i pozorem. Ale jednak gęsto ustawione choć nie dają pozoru siły, dają pozór lotności, i bawią oko okazałością głownic. Nie masz tu cienia po za niemi jak w dawnych weneckich gmachach, gdzie filary albo kolumny prawdziwe odbijały się o tło zacienionych portyków: ale migotny fryz bawi oko mnóstwem girland i dziwacznych ślimaków, i mnogą ozdobą posągów, co w salonowych postawach o tło nieba odbijają. Nie ma prawdziwego życia jak w pałacu Dożów i w biblioteczce Sansovina, ale są pozory życia, które wystarczały już w siedmnastym wieku i odtąd wystarczają społeczeństwu, co przywykło patrzeć na komedyą tylko na scenie, w salonie, w parlamencie a niestety zbyt często i w kościele.

Wnętrze *dei Scalzi* może służyć za doskonały wzór tak zwanej prostoty *barocco*. Prostota zależy na tem, że nie ma tu wcale architektury. Cały kościół zredukowany na długą sień sklepioną. Po bokach sieni drzwi prowadzące do kaplic. Kościół od najzwyczajniejszego pokoju tem tylko się różni, że nie ma sufitu płaskiego. Jeżeli sobie stawiano za ideał, by cały kościół można z każdego punktu ująć jednem spojrzeniem, osiągnięto swój cel, ale kosztem wielkim. Bo ani życia, ani myśli, ani siły nie ma w tym stylu.

Wystawił Longhena poprostu salon, w którym wielcy panowie mogli się Bogu modlić wygodnie. I aby wielkim panom i paniom nie było nudno w jednostajnym salonie, przeładowano kościół tysiącem ozdób i cacek, a zwłaszcza kaplice urządzono jakby budoary dla wielkich pań. Na poduszeczkach marmurowych, pod marmurowemi firankami legły marmurowe książeczki. Pyzate aniołki w marmurowych chmurach unoszą się nad drzwiami na wieki na poły rozwartemi. Wszędy koncepty, żarciki i kosztowna pstrokacizna.

Kościoły barocco bywają najczęściej podobne do dei Scalzi; jest ich na północy i w Rzymie tysiącami; ogół tylko takie kościoły nazywa kościołami w stylu odrodzenia i ma przeto fałszywe wyobrażenie o całym stylu. Sąd ogółu nietylko przeto jest fałszywym, że barok nie jest całem odrodzeniem, ale przeto, że nie jest wcale odrodzeniem. Tradycya przez Bruneleschego stworzona w Santa Maria dei Fiori odzywa się po raz ostatni we Włoszech w kościołach Palladia, a na północy po raz ostatni w krakowskim kościele świętego Piotra i Pawła i w warszawskim kościele Karmelitów. Potem stawiano już tylko długie sienie *barocco*.

Są także kościoły *barocco* okrągłe. Tych gmachów pierwowzorem jest arcydzieło Longheny, *Santa Maria del Salute*. W *dei Scalzi* została z organizmu kościelnego sama tylko główna nawa. W *del Salute* została sama kopuła tylko. Jezuici lwowscy naśladują pierwszy, Dominikanie drugi kościół.

Na smukłym krągłym murze stanęła smukła kopuła w postaci połowy jaja.

Ośm ośmiokątnych kaplic porobiono dokoła kościoła, a sklepione bramy tych kaplic tak blisko ustawione, że pomiędzy nimi stanęły niby możne filary, zdobne w korynckie, nieżłóbkowane półkolumny. Powyżej tych półkolumn fryz i drugie piątro takich samych półkolumn, zawsze parami ustawionych i drugi fryz, a wreszcie kopuła, u której szczytu światło przez latarnię wschodzi.

Wielkiego ołtarza nie ma w opisanym gmachu. Znajduje się on w drugim mniejszym, ale zupełnie podobnym kościele, w którym tylko kaplic już nie ma, i do którego się wchodzi przez wielką sklepioną bramę otworzoną wprost głównego wchodu. Pełno tu ozdób niebogatych nawet a wymuszonych. Najbardziej biją w oczy dwie kolumny, ustawione po obydwu bokach wielkiego ołtarza, z których wychodzą podobne do rogów, początki łuku przełamanego we środku. Na szczytach tak powstałych pirogów krzywią się kataleptyczne aniołki.

Widać kościół ten z Piazzetty. Obie kopuły lśnią pięknie na tle nieba i morza. Schody i tu prowadzą do *Canal Grande*. A tysiączne ozdoby na murze łamią czarodziejsko światło południa o miękką odbite falę. Wszystko to daje kościołowi niewysłowiony urok zaczarowanego kolorytu.

U drzwi wchodowych stanęła facyata podobna do facyaty w *San Giorgio Maggiore*, po nad którą wzlatuje do nieba jedna kopuła, która zupełnie drugą zakrywa. Mnóstwo innych drobnych facyatek ozdabia gmach cały, a do kopuły poprzyrastały marmurowe ślimaki, ogromne i ciężkie.

Nie ma tu loiki linii, nie ma dawnych silnych weneckich kontrastów światła i cienia, nie ma wesołego nastroju weneckiego odrodzenia. A jednak występują tu z potężnym urokiem czary weneckiej barwy — po raz ostatni.

Są tu i pałace w stylu barocco. Dwa piątra kolumn stanęły przed nimi, nic nie dźwigając a mnogie poczwary roją się nad oknami; i one jednak światłem czarują.

II.

Budownictwo weneckie ma ogromne zasługi. Jeżeli linią w średnich wiekach i za wczesnego odrodzenia dla kolorytu poświęcało, zdobyło za to niewidziane gdzieindziej malownicze piękno. W szesnastym wieku objęła Wenecya stanowczo berło budownictwa. Gdy Florencya przestała już tworzyć, gdy Rzym nie przestał naśladować, wydała Wenecya biblioteczkę Sansovina, prokuracye, San Giorgio Maggiore, i tłum nie przebrany przepięknych prywatnych pałaców, stawianych wedle nauk Witruwiusza i wedle natchnień Sansovina.

A jednak nie budownictwo główną chlubą Wenecyi. Wdziękiem jej najwyższym, najszlachetniejszym płodem jej ducha artystycznego — malarstwo.

Początkiem malarstwa weneckiego mozaiki bizantyńskie u świętego Marka. Pod ich natchnieniem malowali z początku piętnastego wieku bracia *Vivarini* z Murano, i *d'Allemagna*. W madonach swoich umieli już tworzyć postacie o anielskiej słodyczy, postacie nieruchome często, ale dość poprawnie rysowane, a przypominające układem i wyrazem fra Angelica. Madony te jednak różnią się od florentyńskich przepychem, który je otacza. Madona d'Allemagni zasiada między dwoma świętymi, w ornaty bogate ubranymi, na złocistym tronie w weneckiej akademii sztuk pięknych. Postać to nieruchoma i skamieniała. Choć ma dzieciątko na ręku, zdaje się o dzieciątku nie myśleć, jedno patrzy nieruchomie, choć słodko i spokojnie w jakąś nieznaną, a jak się zdaje groźną przyszłość.

Cała jej postać odbija się o tło złociste, z którego łagodna a zapatrzona twarz królowej na kształt kamea występuje. Oko płonie dziwnym ogniem, jakby zabiegło błogą jaką łzą. Kamienie drogie lśnią w koronie, a bogato lity płaszcz przywala wiotką postać ciężarem ciężkich fałdów.

Madona najlepsza Vivariniego podobnież na tronie, podobnież w koronie i sztywnym ornacie, na podobnież złotem tle zdobi zakrystyę w kościele *San Zaccaria*. Ale ona oparła już głowę o głowę Chrystusika przyodzianego w haftowaną złotem bieliznę. Ona więc płonie tą samą miłością co *Madonna della stella* i co późniejsza Rafaelowska *Madonna della Sedia*.

Ale obie owe niebiańskie, anielskie i łagodne królowe biją w oczy blaskiem i światłem we Florencyi nieznanym. Barwy ich szat metaliczne, barwy ich twarzy jakieś bursztynowe i przejrzyste, a od barw wszystkich odbijają kwiaty i fiorytury srebrne i złote. Oko owo, jakby z kamienia drogiego, szaty owe z pozłoty, przypominają świętego Marka. Trony przypominają skarby handlowej stolicy, a barwy ciała płoną pełnem światłem, które w całej Wenecyi, w dzień słoneczny powstaje, gdy twarz ludzka i marmur gmachów dwukrotnie oświecone, raz przez słońce prawdziwe na niebie, a drugi raz przez słońce odbite i odzwierciedlone na fali. Owo oświecenie czyni, że wszędzie cień i światła w jakiś bogaty, płynny, bursztynowy ton się łączą, owo oświecenie pozwala się rysom odznaczać, raczej różnicą tonów jednej barwy niż cieniami ostrymi. Z owem oświeceniem możemy u nas na północy tylko ów efekt porównać, który powstaje gdy patrzymy na ciało ludzkie w przejrzystej wodzie zanurzone; i owo to oświecenie jest może źródłem czarów i uroków weneckiego pęzla.

(C. d. n.)

KORESPONDENCYE „TYGODNIA."

Paryż d. 1 Czerwca 1878 r.

„Głośny bęben za górą." Paryska Wystawa sprawiedliwość przysłowia tego w dobitny potwierdza sposób. Słychać o niej więcej z daleka, u was, „za górą," niżli tu na miejscu, pod bokiem. Tryumfalne otwarcie jej, któremu, „a priori," w jednym z przeszłych numerów *Tygodnia*, szumnie brzmiący poświęciliście artykulik, odbyło się w rzeczy samej nader mizernie, i bez wszelkiego rozgłosu. Zakropione ulewnym deszczem, utonęło w kałużach błota, i nawet, co gorzej, dzięki złej organizacyi i wynikającemu z niej nieporządkowi, kilku dość śmiesznemi tłoczenia się, i zapasów na kułaki. skompromitowało się scenami. Wieczorem, improwizowana na prędce iluminacya miasta również niefortunnemu uległa losowi...

Zbyt oszczędny magistrat stołeczny, bojąc się wydać nań za dużo, ograniczył się na kilku skąpych i bladych sznurkach gazu, któremi dwóch czy trzech większych gmachów publicznych przyozdobił frontony. Usiłowania prywatne inicyatywy rządowej zastąpić nie były w stanie; i Paryż, papierowemi iluminowany latarkami, wyglądał jak drogo lub trzecio rzędna mieścina, z okazyi jakiegoś parafialnego przystrojona festynu.

Nigdy nie byliśmy Bonapartystami i upadłe rządy cesarskie dość chłodne w sercu naszem zostawiły po sobie wspomnienia. Przyznać im jednak musimy, iż

gdy chodziło o urządzenie publicznej jakiejś wspaniałej ceremonii, stokroć lepiej niżli obecna Rzeczpospolita z tego organizatorskiego wywiązywały się zadania. Nędzny to tytuł do pamięci potomnych zapewne, szczególniej gdy mu z innej strony tylu błędów i klęsk towarzyszą wspomnienia. Nie dziwi nas też wcale, iż Francuzi, znaczna większość ich przynajmniej, nie rozczulają się nad nim do zbytku. Na ich miejscu uczynilibyśmy prawdopodobnie tak samo. Lecz w naszym charakterze cudzoziemców, zamieszkujących Francyę „dla użycia“ i li tylko „dla użycia,“ wolno nam jest przecie, z myślą o przepychu cesarskich ongiś parad i ostentacyi, nad dzisiejszą ich, republikańską, westchnąć nędzotą.

Nędzota ta uderzy w oczy każdego, który był w Paryżu nazad temu lat dziesięć lub dwanaście, i który doń teraz powtórnym zabłądzi nawrotem. Hej! Hej! Kędyście się podziały doroczne niegdyś, a tak wspaniałe, z okazyi imienin Cesarskich (d. 15 Sierpnia) iluminacye? Kędy nieskończone z czasów Wystawy 1867 r. głów koronowanych po ulicach Paryża kawalkady? Na miejscu pierwszych, na miejscu płomieni gazowych od „l'Arc de triomphe de l'Etoile“ aż do Tuileryjskiego dworca, wzdłuż „Pól Elizejskich“ jednym nieprzerwanym ciągnących się wiankiem, dzisiaj kilkaset wspomnianych wyżej papierowych latarek. Na miejscu drugich, na miejscu okazałego pocztu cesarzów, królów i książąt całego świata w złocistych karocach, przez szerokie czwałującego bulwary, dzisiaj skromny rząd fiakierków, kilkuset panów deputowanych lub senatorów, powolnym truchtem, na pole ciągnący Wystawy.

Widok to moralniejszy bez kwestyi i lepszą bez wątpienia o przyszłości Francyi wyradzający otuchę. Blask zewnętrzny cesarstwa pokrywał, jak się pokazało, nicość wewnętrzną, zgniliznę, i niedalekich klęsk zarodki. Prostota obecna pokrywa może wielkość dni co przyjdą, i jutrzejsze Francyi w cnocie odrodzenie. Bóg jeden tylko mocen jest ocenić to i osądzić jak należy. Nam cudzoziemcom tymczasem do tego nic zgoła, nic wcale. Smak nasz estetyczny, dawniejszemi popsuty splendorami, krzywi się na brak ich dzisiejszy. Spartanizm przytem, źle jakoś przystaje do murów tak wielkiej i tak eleganckiej jak Paryż stolicy. Wygląda na nich jak suknia źle przypięta, krzywo przyłatana, i wątpimy, by jakkolwiek nader cnotliwy, licznych spektatorów przywabił tłumy. A bez tych ostatnich biada industryi i handlowi, biada szczególniej Wystawie. Dzisiaj już, w niespełna miesiąc po jej otwarciu, przewidywać można, iż biedaczka, prawdopodobnie, dość znacznym zrealizuje się deficytem. Przyjezdnych stosunkowo mało i ci co są, nie wyglądają nazbyt groszowito. Według obliczeń statystycznych, dla pokrycia jedynie kosztów wyłożonych na budowę gmachu Wystawy, potrzeba co najmniej 50 tysięcy wejść płatnych dziennie, po franku za wejście, w przeciągu sześciu miesięcy, to jest, w ciągu całego trwania Wystawy. Otóż, pierwszy miesiąc jej egzystencyi, miesiąc, w którym ona, jak każda, wszędzie, nowość, największe naturalnie wywierać mogła wrażenie; otóż pierwszy ten miesiąc, nie wykazał ich więcej nad od 20tu do 30tu tysięcy dziennie, hurtem, licząc w to i wejścia „gratis“ bezpłatne, eksponentów. Arytmetyka żałośna, bez wątpienia, nie mniej przeto istotna i prawdziwa. Dzienniki francuskie, dzienniki republikańskiej barwy zwłaszcza, nie rade przyznać się otwarcie do tak smutnego stanu rzeczy, maskują go na tyle, na ile to podobna. Nie powiemy, by zawsze szczęśliwie. Od czasu do czasu wyrywają się im „wyznania“ (les aveux), dobitnie powyższe potwierdzające obawy. Dziennik „Francya“ (La France) organ od niejakiegoś czasu bardzo zrepublikanizowanego „Pana de Girardin“ naprzykład, występuje z odezwami do możnych pań francuskich, domagając się od nich, by zakupowały kart wstępnych na Wystawę tysiącami, i by rozdawały je w kole przyjaciół swych i znajomych. „Obowiązkiem każdego patryoty Francuza jest, być na wystawie przynajmniej razy dziesięć!“ ten że sam dziennik z lirycznym wykrzykuje zapałem. Gdyby interesa Wystawy stały rzeczywiście dobrze, jak to zawzięci twierdzą optymiści, to czyżby ona, rzecz sama przez się ponętna i ciekawa, potrzebowała zaklęć i homelii tego rodzaju? Widzi nam się, iż tak nie, jest, i cofając się pamięcią do czasów poprzedniczki jej 1867 roku, zgoła w nich sobie podobnych nie przypominamy lamentów. Główny powód niepowodzenia leży zapewne w niezażegnanych jeszcze zupełnie pogróżkach wojny europejskiej, w złym kursie papierów giełdowych, rubli, piastrów i guldenów, które niegdyś, tak potężnym strumieniem, francuskich bogactw zasilały morze, lecz zbłądziłby, według nas, każdy, ktoby racyi onego, cząstkowych przynajmniej, i w wewnętrznym, obecnym, Francyi nie szukał ustroju. Ustrój ten, republikańska forma rządu, zbawienna być może w przyszłości, i najlepiej odpowiadająca wymaganiom postępu, bądź co bądź dziś jeszcze nie weszła zupełnie w krew, iż tak rzekniem, w obyczaje ogółu, i mniej błyszcząc na zewnątrz, mniejsze gapiów pieniężnych przyciąga chmury.

Lekarstwem na taki stan rzeczy może być tylko czas, i wzrastające z przebiegiem onego wykształcenie tłumów. To co dziś dajemy wam za prawdę, nie będzie nią zapewne za jakich lat pięćdziesiąt, lub sto, w przyszłości. Lecz wystawie obecnej chodzi o teraźniejszość; mającej trwać sześć, lub najwięcej siedm miesięcy, na czasie zbywa zupełnie. Wbrew więc słodkim iluzyom optymistów, sukces jej ostateczny, (sukces rozumie się, materyalny, pieniężny) wielkiej poddajemy wątpliwości. A szkoda, bo jakkolwiek mniej paradna na zewnątrz, pod względem wartości wystawionych produktów, nietylko iż nie ustępuje tym, co ją poprzedziły, ale owszem przewyższa je o wiele. Nie mówiąc już o niczem innem, sama praktyczność urządzenia jej wewnętrznego na wielkie zasługuje pochwały. Szerszą zajmując przestrzeń, pomimo tego, lepiej oku ochwycić się pozwala, wygodniejszą jest do zwiedzania i do badań nawet drobiazgowych. Ta część jej, która z wyżyn „Trocadero“ płynącym w dole nurtom „Sekwany“ swym ładnym przyświeca frontonem, udała się na podziw dobrze pod względem architektonicznym, i życzyć należy, by na jakiś trwalszy przeznaczona użytek, nie znikła po skończeniu wystawy, i by mogła tym pustym względnie dzielnicom Paryża „Passy“, „Grenelle“ i td. stałą służyć ozdobą. Być to ma, jakeśmy słyszeli, w intencyach rządu, i wyznać potrzeba, że ze wszech miar słusznie i sprawiedliwie.

Inaczej się rzecz ma co do głównej nawy, zalegającej „Marsowe pole“ (Champs de Mars) i maskującej ładną „szkoły wojskowej“ fasadę. Zwykły to sobie bazar, zbudowany na prędce, bez troski o wymagania estetyki, i na widoku jedynie praktyczne mający cele. Ten zburzonym być musi koniecznie, by za jakichś lat dziesięć lub dwanaście, gdy się Francyi na czwartą z rzędu zbierze wystawę, wyrość jak grzyb z pod ziemi na nowo i na nowo temuż efemerycznemu uledz losowi.

Zachodzi tylko pytanie, kędy, w ciągłej zostając progressyi, rozrastając się ciągle nieumiarkowanie, kędy, dość przestronnego szukać sobie pójdzie pomieszczenia. Pierwsza wystawa 1855go roku gnieździła się cała między „Sekwaną“ i główną „Pól elizejskich“ aleją, w tak zwanym i istniejącym po dziś dzień „Pałacu Industryi“ (Palais de l'Industrie) i kilku drobniejszych obok niego budynkach. Druga 1867go roku na szerszem o wiele „Marsowem“ roztasowała się „Polu“. Trzecia, obecna do wspomnianego „Pola“ anektowała sąsiednie wyżyny „Trocadero“. Czwartej, następnej, nie pozostanie, jak wynieść się chyba za Paryż do Bulońskiego lasku, na błonia „Longchamps“, na prowincyę. A dalszym? Uniemożebnione brakiem miejsca, przetworzą się prawdopodobnie na ekspozycye specyalne, cząstkowe, „Rolnictwa“ jednego, „Industryi“ drugiego, „Sztuk pięknych“ nakoniec, trzeciego roku. O wystawach powszechnych, jak dzisiejsza i mowy nie będzie być mogło. W przeciągu lat pięćdziesięciu, wyczerpawszy wszystkie dwóch największych stolic świata „Londynu“ i „Paryża“ schronienia, te ostatnie zaszczytnem dla XIXgo wieku w przyszłość przejdą wspomnieniem.

Radzibyśmy służyć wam za przewodnika po obecnej i prawdopodobnie kilka listów z rzędu temu miłemu dla nas poświęcimy obowiązkowi. Z góry jednak o możebne upraszamy pobłażanie. Jak przeważna większość bowiem, współczesnej nam, u nas, generacyi, żadnego specyalnego nie otrzymawszy wykształcenia, możemy mówić i sądzić o wszystkiem, lub prawie o wszystkiem, po wierzchu, lecz do zgłębiania czegokolwiekbądź, tak z rzeczy wiedzy, jak z rzeczy sztuki, koniecznych, ścisłej kompetencyi, nie staje nam warunków.

Ufamy, iż tak szczere i pokorne przyznanie się do mimowolnej nieudolności, przebłaga surowe wasze sądy, i do łaskawej usposobi was względności. Według ogólnego zdania znawców, najpokaźniejszą częścią obecnej wystawy jest kollekcya indyjskich przedmiotów, prywatną „Księcia Gallii“ będąca własnością. W czasie ostatniej swej do Indyi podróży, następca angielskiego tronu, sute ztamtąd utworów miejscowej sztuki przywiózł z sobą żniwo. Co tylko tak bogata i tak bogatemi rozporządzająca materyałami, fantazya południa i wschodu wymarzyć mogła najpiękniejszego, lub najbardziej wybujałego, z tego wszystkiego przyszłemu władzcy tych dalekich krain hojną przyniosła ofiarę. Wyobraźcie więc sobie wynikłe z tego rezultata: jedwabie, kaszmiry, pajęcze, szczerem złotem przeplatane tkanki, perły najczystszej wody, brylanty słonecznego blasku, w dziwaczne i bezładne na pozór, pełne jednak gracyi i wdzięku, powiązane z sobą esy floresy, wszystkie cuda „Tysiąca i jednej nocy“ namacalną przed okiem widzów rozścielające się rzeczywistością, oto kollekcya księcia Gallii, uprzejmie przezeń paryskiej pożyczona wystawie. Przypatrując się jej detalicznie, uderzeni byliśmy jedną rzeczą, mianowicie: zadziwiająco bliskiem częstokroć pokrewieństwem, jakie egzystuje między sztuką indyjską a tem, co u nas, w Europie, gotycyzmu nosi nazwisko. Widzieliśmy nie jeden puhar, nie jedną tarczę, na powierzchni których, mnóstwem w złocie rzeźbionych zasypanej figurek, mimowolnie, zwiedzeni podobieństwem, któregoś z słynnych średniowiecznych mistrzów szukaliśmy anagramy. Ten sam prawie układ ozdób, takież same procesyonalne drobnych osóbek uszykowanie, też same wreszcie, rzekłbyś z krużganków naszych starych katedr skopiowane, fantastycznych zwierząt, po rogach i kącikach, postacie. Tajemnicza transmisya idei, wielkiej narodów zawdzięczona wędrówce. Dzikie hordy barbarzyńców, w podróży swej od wschodu na zachód, dalekiej, opuszczonej ojczyzny niosły z sobą wspomnienia. Cała średniowieczna europejska sztuka, aż do epoki „Odrodzenia“ (Renaissance), nie jest niczem innem, jak tylko mniej lub więcej pod wpływem klimatu, miejscowości i td. zmodyfikowanym, wspomnień onych wyrazem. Ze starcia się „Gotycyzmu“ z Hellenizmem“ wynika wspomniane „Odrodzenie“ (Renaissance), a to ostatnie, rozmaitym ulegając wpływom, różne tam i owdzie zaciągając pożyczki, modyfikując się jednem słowem z kolei, nowożytnej, współczesnej sztuce daje początek. Oto genealogia kunsztu, prawdopodobieństwo, ba, oczywistość, której przy oglądaniu indyjskiej ks. Gallii kollekcyi, takiemu nawet jak my profanowi, skonstatować się pozwala. (Dok. nast.)

Z ALBUMU HALINY.

PIOSNKA ZA ŚPIEW.

Poznań 15. czerwca 1854.

ŚMIERĆ UŁANA

(na nutę „hej tam na górze itd.“)

Jedzie w las ułan,
Krew się leje z ran.
Postrzelaną, pokrwawioną,
Chorągiewkę ma czerwoną,
Kipi z konia pot.

Stanął u brzega,
Krew go ubiega,
A od pola okrzyk leci:
Za mną wiara! hura dzieci!
I kopyta grzmią.

Ułan oczy wzniósł.
W strzemiona jak wrósł.
Ale z lancą ręka sina
Do kulbaki się przygina,
Zabrakło jej sił.

Tęskno zarżał koń,
Zadzwoniła broń,
Bo tam znane trąbki grają.
Nasi biją, rozpędzają.
Igra lotny pułk.

Jakby muszek rój,
Jak w sitowiu zdrój,
Szemrzą cicho usta płowe,
Wymówiony przez połowę
Ton — serdeczny żal.

„Mój miły Boże,
Dla mnie tu łoże,
Pień poduszką, mech pościelą,
Ciałem kruki się podzielą,
Trzeba żegnać świat.

Dłużej już nie stój,
Wracaj koniu mój,
Powiedz matce gdzie ja leżę.
Syna z lasu niech zabierze,
Na mszę za mnie da.“

Gdyby chusta zbladł,
Mrok na oczy padł,
A tam piosnka powionęła:
„Jeszcze Polska nie zginęła!“
Ach umierać żal.

Pada z konia w znak
Na kaliny krzak,
A kalina go obtula
W swoje listki, jak matula,
Kładąc syna w grób.

Konstanty Zakrzewski.

MĄŻ ZUZANNY.

NOWELLA

przez

JERZEGO VAUTIER.

(Ciąg dalszy).

IV.

Dziś rano otrzymałem twój list, datowany z Rennes. Jakże surowy w nim jesteś! Opowiadasz mi, że przed wyjazdem z Paryża widziałeś się z Felicyanem, i że użalał się przed tobą na mnie, napomykając przytem o pewnych podejrzeniach, jakie żywić mam przeciw jego osobie. Ty się gniewałeś i korzystając ze sposobności, palnąłeś sążniste kazanie na temat przyjaźni. Dobry z ciebie kaznodzieja, ale za bardzo pochopny do potępiania. Wysłuchaj i osądź!

Po powrocie naszym z Włoch, Felicyan przyjechał na kilka dni do Sauves, zawsze podległy swojej dobrze nam znanej monomanii, zachwycający się każdem dzieckiem, jakie przypadek nasunie mu przed oczy. Po raz setny powtarzam mu: „Żeń się!“ a on po setny raz odpowiada mi: „Zapóźno! minęła już dla mnie stosowna pora...“ Mówił mi dalej, że będąc dostatecznie majętnym, aby potrzebował oglądać się za klientelą, poświęcił się wyłącznie badaniu chorób dziecięcych, a tym sposobem zapewnił sobie możność ciągłego przebywania wśród ukochanego przez siebie maleńkiego świata. Nie zdziwił mnie też pospieszny przyjazd jego, skoro dowiedział się o przyjściu na świat mojego syna. Miał nadzieję, że będzie go do chrztu trzymać, ale już zaprosiliśmy na ojca chrzestnego jednego z wujów mojej żony; dowiedziawszy się o tem, odjechał w prawdziwej rozpaczy. Za przybyciem naszem do Paryża, zjawił się znowu i ofiarował się czuwać nad zdrowiem Piotrusia, który miał się jak można najlepiej. Zezwoliłem na to ze śmiechem. Od owej chwili stał się codziennym gościem u nas, co wielce bawiło Zuzannę i panią de Haintenois, niemogących dosyć nadziwić się gorliwości starego kawalera w odgrywaniu roli ojca; ja sam z początku, nie miałem nic przeciwko temu i myślałem sobie:

— To już takie dziwactwo jego!

Pewnego dnia, szczególna myśl przeszła mi przez głowę; odepchnięta, wracała znowu. Opierałem się jej, chciałem walczyć; wszystko napróżno! to, co w pierwszej chwili uważałem za rzecz zwykłą, zaczęło mnie dziwić i niepokoić. Nie miałem odwagi zdradzić moich podejrzeń, sam przed sobą wyznać ich nie chciałem — przyjmowałem wszakże Felicyana ozięble, z twarzą pochmurną, w nadziei, że może sam się domyśli; nie zrozumiał mnie jednak, czy też nie chciał zrozumieć. Nareszcie, w zeszłym tygodniu, gdy odchodząc zapowiedział, że powróci nazajutrz, zdecydowałem się nagle i rzekłem do niego, nie bez zająknienia wszakże:

— Po co masz jutro przychodzić? Przecież Piotruś zdrów jest.

Spojrzał na mnie zdziwiony. Odwróciłem oczy, aby nie wyczytać wyrzutu w tem spojrzeniu.

— Co mam przez to rozumieć? czy uważasz, że wizyty moje są zbyt częste?

Tyle prawości przebijało się w jego wzruszeniu, iż uczułem szaloną żądzę uściskania go; ale w tejże chwili doleciał mnie z salonu głos Zuzanny, a więcej też nie było potrzeba, aby odżyły moje podejrzenia. Nie wiem, co odpowiedziałem Felicyanowi. Starałem się mu wytłómaczyć, że żona moja jest za młoda i za piękna, aby poufałość taka mogła trwać dłużej, bez narażania jej na złośliwe języki ludzkie. Plątałem się i nie mogłem wybrnąć, Felicyan słuchał mnie z całą uwagą.

— Chcę wiedzieć wszystko — przemówił, kiedym skończył — czy ci kto o tem wspominał?

— Nikt.

— A więc ty sam podejrzywasz mnie?

— Nie mam żadnych podejrzeń — kłamałem — i nie w ten sposób przemawiałbym, gdybym miał był urazę jakąś do ciebie, ale obowiązkiem jest moim chronić żonę od pocisków obmowy.

Wzruszył tylko ramionami i odszedł; widziałem dobrze, że odpowiedź moja nie wydała mu się szczerą i wstyd mi się zrobiło przed sobą samym. Nazajutrz nie przyszedł i nie pokazał się już więcej.

Kilka dni następnych przebyłem w ciągłej niepewności; to winszowałem sobie, żem się zdobył na taki krok stanowczy, to znów czyniłem sobie gwałtowne wyrzuty. List twój, szczerze ci wyznam, wzruszył mnie głęboko, ale i skłonił zarazem do ponownego rozmyślania. Zapewne, nie przypuszczam, aby Felicyan zdolnym był do zdrady, obliczonej z góry, ale z własnego wiem doświadczenia, jakie następstwa wynikają z podobnego zbliżenia się, i czego obawiać się można. Robisz mi wyrzuty, że nie zaufałem jego przyjaźni, i na potępienie moje to jedno tylko znalazłeś: „Przyjaciel od lat dwudziestu!“

Przyjaciel! zapomniałeś więc, że i ja byłem przyjacielem męża Joanny? żeprzyjaźń nasza datowała się od lat dziecięcych?

Wytłómacz to, jeśli możesz i odpowiedz mi, jeśli zdobędziesz się na tyle odwagi!

V.

Napróżno szukałem w długiej twojej reprymendzie oczekiwanej odpowiedzi. Mówisz, mój kochany, jak kawaler, ale my, żonaci, zupełnie inaczej zapatrujemy się na te sprawy. Pytasz się, czego mi braknie do szczęścia? Niczego mi nie brak, mam wszystko, co zapewnić może prawdziwe szczęście; wyrzucam sobie jednak moją przeszłość, lękam się, abym nie został za nią ukarany.

Mając lat dwadzieścia pięć, będąc zakochanym, usprawiedliwia się człowiek siłą namiętności, przykładem innych, licznemi pokusami napotykanemi na każdym prawie kroku; o przyszłości nie myśli się; zakochać się w cudzej żonie, zyskać jej wzajemność, wydaje się wówczas rzeczą najzwyczajniejszą w świecie. Później dopiero, ożeniwszy się, siedząc pomiędzy własną żoną i dzieckiem, kiedy się już poznało całą potęgę uroczą małżeństwa, przekonywamy się, myśląc o przeszłości, jak nieszlachetnem było nasze postępowanie.

Pierwszy raz przyszło mi to na myśl w Sauves, po powrocie naszym z Florencyi: czułem się tak szczęśliwym, iż ogrom tego szczęścia przerażał mnie; pomyślałem, że nadejdzie może dzień, w którym zmuszony będę stanąć w jego obronie, przeciw nikczemnym zamachom jakiego romansowego próżniaka, co w braku innego zajęcia, zechce lekkomyślnie zakłócić mi je z bezwstydną zarozumiałością. Odtąd złowieszcza myśl ta nie daje mi chwili spokoju! Dręczą mnie wyrzuty sumienia — rozumiesz mnie? — prawdziwe wyrzuty sumienia! Doznaję ich od chwili, gdy sam zostawszy mężem i ojcem, zacząłem napawać się rozkoszami, jakich dawniej pozbawiałem innych, nie mając pojęcia o ohydzie wyrządzonej im krzywdy. Ach! gdyby młodość wiedziała! Dziś tak dalece poczuwam wielkość mojej winy, iż strach mnie przejmuje na samo wspomnienie o zasłużonej karze. Oceń moje położenie i powiedz, że przesadzam! Bronię się, ile mogę przeciw napastującym mnie myślom, wszystko, co ty mi mówisz, powtórzyłem już sobie ze sto razy. Zuzanna nie jest kokietką, zacne i uczciwe ma serce, kocha mnie szczerze, czegóż się miałbym obawiać? Przed chwilą właśnie, z twoim listem w ręku, zadawałem sobie głośno pytania, jakiemi chciałeś mnie uspokoić:

— Jesteś przecież dobrym mężem dla twej żony?

— To prawda, jestem nim — ale przeklęta pamięć moja, dodaje natychmiast:

— Mąż Joanny również był dobrym mężem dla swej żony.

— Nie jesteś pewnym miłości Zuzanny?

— Jestem przekonany, że mnie kocha — ale i Joanna kochała swego męża.

— Dlaczegożby twoja żona miała pierwszego lepszego przekładać nad ciebie? Jestżeś brzydki, głupi, nieznośny?

— Zapewne, że nie; ale dlaczego Joanna przełożyła mnie nad swego męża, który sto razy więcej był wart odemnie, co sam przyznać muszę?

Utrzymujesz, że nie mam żadnego usprawiedliwionego powodu do obaw; podzielam i ja w zupełności twoje, a to wtenczas tylko, gdy przypadkiem uda mi się zapomnieć na chwilę o przeszłości, a tem samem bez uprzedzeń oceniać sytuacyę. Lecz dajmy już temu pokój. Papier już się kończy, i zostaje mi zaledwie tyle miejsca aby napisać ci, że przedwczoraj spotkałem Felicyana. Podszedłem ku niemu i uścisnąłem go za rękę; byłem tak zmięszany, że nie wiedziałem co powiedzieć, ale w przyjaznem spojrzeniu jego widziałem, że odgadł znaczenie tego uścisku. Czy jesteś zadowolony ze mnie? Pomimo to jednak nie był jeszcze u nas, czem mnie wielce zobowiązał. Smiejesz się? ale cóż robić! nie spodziewałeś się przecież wyleczyć mnie od razu?

VI.

Cały miesiąc niczem niezakłóconego spokoju. Prawda, że czynię postępy? Sądziłem, że ów dawny ja zamarł już we mnie; niestety ostatniemi dniami zbudził się on na nowo. Długą historyą mam ci do opowiedzenia; chciałeś zostać moim spowiednikiem, sam sobie więc przypisz winę, jeżeli cię znudzę.

Zeszłego czwartku, wychodząc z ministerstwa sprawiedliwości, gdzie byłem w interesie jednego z moich krewnych, spostrzegłem na placu Vendôme Felicyana. Było to około godziny trzeciej po południu; o tej porze właśnie Zuzanna wyprowadza codziennie Piotrusia na świeże powietrze do ogrodu Tuileryjskiego. Felicyan szedł spiesznym krokiem w kierunku ulicy Castiglione. Jakieś niezwalczone uczucie ciekawości skłoniło mnie, że poszedłem za nim. Przybywszy do ogrodu, uszedł kilka kroków główną aleją, następnie spojrzał na zegarek i rzucił się na lewo, bacznie rozglądając się wśród mnóstwa dzieci, bawiących się w tej części ogrodu. Widocznie szukał kogoś i był pewnym, że go znajdzie, a może nawet zwykł się z nim schodzić w tem miejscu. Naraz, widzę, że schyla się, bierze jednego chłopczyka na ręce i całuje go; był to Piotruś. Skryłem się za drzewo jak złoczyńca czatujący na swoją ofiarę. O dwadzieścia kroków odemnie Felicyan pieścił się z moim synem, który skakał mu na rękach i chichotał się głośno. Piastunka, siedząc dotąd na ławce, wstała i podeszła ku nim. Ale gdzie była Zuzanna? napróżno szukałem jej oczyma, i nie widząc nigdzie, ucieszyłem się w pierwszej chwili; chłodne przecież zastanowienie szeptało mi jednocześnie: czeka na nią bezwątpienia, ona niebawem nadejdzie. W dręczącem wyczekiwaniu nie spuszczałem z oka Felicyana; wyciągnął z kieszeni pakiecik z łakociami i uraczył niemi Piotrusia, a pobawiwszy się z nim jeszcze przez jakiś czas, posadził go na ławce, a sam oddalił się pospiesznie w kierunku głównej alei, oglądając się kilkakrotnie za dzieckiem, które różowymi swemi paluszkami przesyłało mu pożegnalne całusy. W tej chwili spostrzegłszy, że piastunki spoglądają na mnie podejrzliwie, szepcąc coś między sobą, zrozumiałem śmieszność mego położenia i odszedłem w przeciwną stronę.

Chodziłem długo, bez celu, nie mogąc uspokoić opanowującego mnie wzruszenia. W gruncie rzeczy to, co widziałem przed chwilą, nie miało w sobie nic zatrważającego; znając zwłaszcza dziwactwo Felicyana, trudno było gniewać się na niego, że przyszła mu ochota uściskać mojego syna. Niektóre jednakże szczegóły tej sceny, nasuwały mi podejrzenie, że powtarza się ona codziennie. Zuzanna tymczasem nigdy mi o tem nie wspomniała; istniała więc pomiędzy nią a Felicyanem wspólna tajemnica, o której ja nie wiedziałem. A oprócz tego, gdzie ona się znajdowała? czemu nie była przy Piotrusiu?

Nazajutrz o zwykłej godzinie żona moja wybrała się z dzieckiem do Tuileryów. W kilka chwil później poszedłem w ślad za niemi, chcąc się przekonać, czy Felicyan przyjdzie znowu, i czy Zuzanna oddali się tak samo jak wczoraj. Kiedy jednak ujrzałem już wierzchołki olbrzymich kasztanów, wstyd mnie ogarnął i wróciłem do domu. Około godziny piątej powróciła i Zuzanna; z największym, na jaki zdobyć się mogłem spokojem, zapytałem ją:

— Byłaś z Piotrusiem w ogrodzie?

— Rozumie się.

— Nie oddalałeś się wcale od niego?

— Załatwiłam tylko kilka sprawunków w okolicy.

A więc codziennie odchodziła o tej samej godzinie! Niestety! aż nadto wiem dobrze jaki wyborny pretekst mają kobiety w załatwianiu drobnych sprawunków domowych, wyłączną pieczę, o których tak zręcznie przy sobie zatrzymały?

Następnego dnia obudziłem się więcej niż kiedykolwiek niespokojny. Żeby raz już położyć koniec mym udręczeniom, postanowiłem nie krępować się żadnymi względami delikatności i użyć wszelkich możebnych środków dla wykrycia prawdy. Wyszedłem z domu wcześniej pod pozorem licznych interesów na mieście. O godzinie trzeciej byłem w Tuileryach. Niezadługo ujrzałem nadchodzącą Zuzannę. Skryłem się po za klombem. Ona usiadła na ławce, a wpół godziny, zostawiając dziecko z piastunką, wstała i skierowała się ku ulicy Rivoli. Pospieszyłem w tę stronę, ale szła tak prędko, że zaledwie zdołałem podążyć za nią. Na ulicy Richelieu, zmuszony trzymać się w pewnej odległości, a obawiając się znów, aby w tłumie tym, wśród natłoku powozów i omnibusów, nie stracić jej z oczu, z trudnością przeciskałem się pomiędzy licznymi przechodniami, trącając jednych, depcąc drugim po nogach; złorzeczenia i grubiaństwa sypały się za mną ze wszech stron, zbyt jednak byłem zajęty, abym mógł zważać na podobne drobnostki. Na rogu ulicy Montpensier żona moja stanęła na chwilę, jakby wahając się; nie chcąc żeby mnie spostrzegła, schowałem się pospiesznie za kolumnadę teatru. Nagle, stanąłem jak wryty, z przerażenia: na przeciwko Zuzanny, tym samym trotoarem, szedł Gontran. Krew uderzyła mi do głowy, w piersiach tchu zabrakło, z okiem wlepionem w tego człowieka, oparłem się o ścianę... Już tylko o kilka kroków był od Zuzanny... Przeszedł koło niej, zdjął kapelusz, powitał ją z uszanowaniem, ona skłoniła głowę i rozeszli się każde w inną stronę. Na ten widok doznałem w pierwszej chwili wielkiej ulgi, ale niebawem dręczące opanowały mnie myśli: może to tylko udana obojętność, aby mnie w pole wyprowadzić? Dobrze przecież byłem ukryty — widzieć mnie nie mogli. W niepewności tej, kiedy Gontran znikł mi już z oczu, pobiegłem dalej za żoną; zdążyłem jeszcze na czas, żeby ujrzeć ją znikającą w bramie jednego z domów przy ulicy Neuve-des-Petits-Champs. Z głupią miną zostałem na środku ulicy, przyglądając się domowi, jakbym wzrokiem chciał przebić mury jego; na pierwszem piętrze mieścił się magazyn mód, drugie zajmował szmuklerz. Co tu począć? czy wejść i badać odźwiernego? czy też czekać i niczego się nie dowiedzieć? Z zamyślenia mego wyrwała mnie ciężka ręka spadająca mi na ramię, a jednocześnie z głośnym śmiechem, zabrzmiało mi w uszach:

— Złapałem cię, szkaradny zazdrośniku!

Był to mąż Joanny. On, w takiej chwili!! Zanim zdołałem zebrać myśli, wziął mnie pod rękę i pociągnął za sobą.

— A ja nie chciałem wierzyć Gontranowi — mówił dalej — gdy mnie zapewniał, że jesteś zazdrosnym. Któż to widział, żeby szpiegować własną żonę!

Chciałem zaprzeczać — odparł mi żywo:

— Idę za tobą od kwandransa. Wszystko widziałem!

— To jeszcze nie dowód, że...

— Powiadam ci, że wszystko widziałem. Nie masz słuszności; mąż nie powinien tak postępować. Czy ja śledzę Joannę? nie, ufam jej, i wiem, że nie byłaby zdolną...

Zadrżałem. On spojrzał na mnie. Nie wiem, jaki mógł być wyraz mojej twarzy, ale spotkanie to, te zwierzenia przy podobnych okolicznościach, nabrały charakteru tak śmiesznego i bolesnego zarazem, że uczułem się głęboko wzruszonym. Nie odgadł przyczyny mego wzruszenia i ciągnął spokojnie dalej:

— Uważałem, jakeś zmienił się nagle, gdy Gontran przechodził koło twojej żony. Przyjaciel! I ty mogłeś podejrzywać przyjaciela!

Tego było już za wiele; schyliłem głowę, nie byłem wstanie ukryć mego pomięszania.

— Bledniejesz i rumienisz się naprzemian, jesteś w gorączce. Otóż zaspokoję cię jednem słowem. Twoja żona jest u modniarki. Znam dobrze ten dom; Joanna nie wychodzi prawie z niego; całemi dniami tu przesiaduje. Nasze panie, przy swoich gałgankach, o wszystkiem zapominają.

Znowu głośno i szczerze się zaśmiał; spoglądałem na niego ze zdumieniem · czy żałować go, czy też zazdrościć mu wypadało? Ja wiedziałem bowiem, gdzie Joanna przez całe dwa lata spędzała popołudniowe godziny, udając, że zajmuje się gałgankami. Przypomniałem sobie, że często wspominała mi o jakimś magazynie mód, przez który przechodziła tylko dla odwrócenia podejrzeń. I to do tego samego domu weszła moja żona!... Wyrwałem gwałtownie rękę i porzuciłem pana de Verceil.

— Wracasz na swoje stanowisko? — zawołał — Nie, nie uczynisz tego, wszak prawda?. Byłoby to bardzo źle z twojej strony.

Odpowiedziałem mu kiwnięciem głowy tylko, które nic stanowczo nie wyrażało. Z daleka jeszcze dolatywał mnie śmiech jego. Szydził sobie ze mnie; zazdrość moja wydawała mu się niedorzecznością!...

Powróciłem na ulicę Neuve-des-Petits-Champs, aby zbadać dokładniej dom modniarki; rzeczywiście miał dwa wychody. Przeczekałem jeszcze całą godzinę napróżno, Zuzanna odeszła już widocznie. Tymczasem zauważywszy, że zaczynam wzbudzać ciekawość sąsiadów, zdecydowałem się wrócić do Tuileryów i tam oczekiwać na żonę. Zaledwie doszedłem do kraty ogrodu, dwoje drobnych rączek uchwyciło mnie za kolana:

— Tata! tata!

Ujrzałem przed sobą żonę i syna; wychodzili już, Zuzanna więc musiała dawno powrócić; to mnie uspokoiło. Idąc obok niej, milczący zgnębiony tyłu doznanemi wrażeniami, zauważyłem, że Piotruś niósł nowego, olbrzymiego poliszynela.

— Kto ci to dał? — zapytałem go.

— Pan Felicyan.

Nie mogłem ukryć niezadowolenia; żona odgadła bez wątpienia gniew mój, bo prędko dodała:

— Pan Felicyan przyszedł tu do Piotrusia podczas mojej nieobecności. Naprawdę psuje nam chłopca; ile razy go spotka, zawsze mu daje zabawki albo cukierki.

— Zatem często odwiedza go w ogrodzie?

— Dość często. Wiesz, jak przepada za dziećmi. Ma podobno na przedmieściu Saint-Germain kilku małych pacyentów, których codzień popołudniu odwiedza. Przechodząc więc przez ogród, zatrzymuje się często przy Piotrusiu.

— Nigdy mi o tem nie mówiłaś.

— Widuję go bardzo rzadko; zwykle przy-

chodzi podczas mojej nieobecności. — Po chwili, z zupełnym spokojem, przerwała znowu milczenie:

— Dziś bardzo krótko byłam u mojej modniarki. Zmieniłam tylko kapelusz. Nie zwróciłeś nawet uwagi, że wyszłam z domu w innym kapeluszu, a wracam w innym. Powiedz mi, jak ci się ten podoba prawda, że ładniutki?

Powróciliśmy do domu. Uspokoiłem się cokolwiek; zasiadłszy w saloniku pomiędzy żoną i dzieckiem i rozmyślając o wypadkach dnia dzisiejszego, zapytywałem sam siebie, czy pod wpływem jakiejś strasznej hallucynacyi nie pomięszałem przeszłości z teraźniejszością, czy nie odegrałem przypadkiem niegodnej mnie i śmiesznej zarazem roli. Gwałtowny głos dzwonka wyrwał mnie z tych uspokajających rozmyślań a w dzwonieniu tem odczułem zbliżające się niebezpieczeństwo.

Dzwonek nie przycichł jeszcze zupełnie, kiedy do salonu wpadła matka mojej żony i idąc wprost do mnie, zawołała nie witając się nawet:

— W tej chwili widziałam panią de Verceil!

— Joannę! — wykrzyknąłem mimowolnie, nieprzygotowany na podobną niespodziankę. Zuzanna, na szczęście, nie usłyszała mego wykrzyku, zajęta będąc dzieckiem, które gramoliło się na krzesło, aby ucałować babcię.

Pani de Haintenois aż podskoczyła z oburzenia, a potem lornetując mnie pogardliwie, powtórzyła głosem pełnym groźby i złośliwości:

— Joannę!... tak jest, Joannę.

Nie odrzekłem ani słowa.

— Mąż jej właśnie przy mnie powrócił — mówiła dalej napawając się odniesionym tryumfem.— Opowiadał nam ze śmiechem, że spotkał cię na ulicy, idącego wślad za Zuzanną, szpiegującego, narażającego ją śmieszną swoją zazdrością na obmowę. Z początku nie chciałam temu wierzyć, ale gdy mnie zaczął przekonywać...

— Pan de Verceil mówił pani prawdę.

Postąpiłem krok jeden, chcąc się zbliżyć do żony, ale pani de Haintenois zatarasowała mi drogę. Twarz jej przybrała barwę szkarłatu, a w oczach pioruny świeciły.

— Przyznajesz więc, że to prawda?

— Jednej tylko Zuzannie udzielę wyjaśnień pod tym względem, jeśli ich żądać będzie — odparłem stanowczo.

Było to nierozsądnie z mej strony; lepiej byłoby przetrzymać burzę. Nie będę ci powtarzał wyrzutów, jakimi obsypany zostałem; pani de Haintenois wpadła w taki oratorski zapał, iż niepodobna było jej przerwać. Biedny Piotruś, przestraszony gwałtownemi jej ruchami, ukrył się z płaczem na łonie matki, która blada, z zalzawionem okiem, starając się uspokoić dziecko, zwracała ku mnie pytające spojrzenia, a milcząca jej wymówka przykrzejszą mi była aniżeli wrzaskliwa filipika pani de Haintenois, którą zimna krew moja, zamiast ułagodzić, bardziej jeszcze rozdrażniła.

— Zasłużyłeś — mówiła w swej zapalczywości — aby cię to spotkało, czego się tak obawiasz — i gdyby Zuzanna chciała mnie słuchać...

Ach! tego było już za wiele! zabrakło mi cierpliwości i gdyby nie wdanie się mojej żony, która rzuciła się między nas, kto wie, jaką byłaby moja odpowiedź. Czując, że gniew mną owłada, wyszedłem z salonu, i zamknąłem się w swoim pokoju. Czyż to nie fatalność prawdziwa? w chwili właśnie kiedy spokój zaczął wstępować do umysłu mego, trzeba było aby ta nieszczęsna sprzeczka na nowo wzniecila dręczące mnie obawy! Po upływie może pół godziny ujrzałem wchodzącą Zuzannę; była niezwykle wzruszoną.

— Matka odeszła już — rzekła — uspokoiłam ją. Prawda, że nie masz do niej urazy? Wiesz, jak ona mnie kocha; uniosła się cokolwiek, ale jestem pewna, że powiedziała to bez żadnej złej myśli.

Rumieniec oblał lica mej żony, jakby lękała się powtórzyć śmieszną ową groźbę, jaką rzuciła mi jej matka. A potem, twarz jej zmieniła się nagle, oczy przybrały błagalny wyraz i zapytała, zbliżając się ku mnie:

— Powiedz mi szczerze, Gastonie: czy to prawda, co pan de Verceil opowiadał mojej matce?

Jak winowajca, odpowiedziałem pół głosem:

— Prawda.

Ani przez myśl mi nie przeszło, aby skłamać — wiedziałem, że kłamstwo moje nie zaspokoi jej.

— Szedłeś za mną, śledziłeś moje kroki; posądzasz mnie więc, że cię zdradzam, że mam kochanka?

Ostatnie te słowa wymówiła z bolesnym przymusem.

— Nie posądzam cię wcale.

— Zkąd ta nieufność? Po co to szpiegowanie, skoro już trzeba nazywać rzeczy po imieniu? Czy dałam ci choćby najmniejszy powód do powątpiewania o mojej wierności? Powiedz, Gustawie, co takiego uczyniłam, co mi zarzucasz?

— Nie mam ci nic do zarzucenia.

— A więc?

— Nie możesz tego zrozumieć, co ja doświadczam. Lękam się.

— Lękasz się, abym ci się nie przeniewierzyła? Przypuszczasz więc, że cię nie kocham.

Ukryła twarz w rękach, a dwie wielkie łzy, jasne jak brylanty, stoczyły się wzdłuż drobnych jej paluszków.

— Wiem, że mnie kochasz — odpowiedziałem — ale wiem także, jak łatwo młode i piękne jak ty kobiety, dają się uwieść pozorami, ułudą, z ciekawości, lub też przez kokieteryą. Poznałem świat z bliska i nie ufam mu wcale.

— Wątpisz zatem o mojej uczciwości?

— Znałem najuczciwsze kobiety, które nie umiały oprzeć się pokusie.

— Ah!...

Było w tem „ah!“ coś tak pogardliwego, tak upokarzającego, że nieśmiałem odezwać się.

— Nie wiem — rzekła — kogo masz na myśli, i nie chcę tego wiedzieć; pochlebiałam sobie, że nie oceniasz mnie na równi z osobami, o których mówisz, nigdy bowiem przypuszczać nie mogłam, abyś chciał żonę swoją porównywać ze swemi kochankami....

— Zuzanno! To nie...

— Proszę cię, przestań już. Nie domyślasz się nawet, jak wielki ból mi sprawiasz; gotowa jestem zwątpić o tobie i o samej sobie.

Chciałem jej wypowiedzieć, co działo się ze mną; nie mogąc jednak wyznać całej prawdy, tłumaczyłem się niezręcznie, bez taktu; zrozumieć mnie też nie mogła.

— Przerażasz mnie swemi zasadami — rzekła — ale nie pojmuję ich wcale. Pytam się raz jeszcze, o co mnie posądzasz?

— O nic cię nie posądzam, lękam się tylko....

Nastąpiła chwila milczenia, która mi się wiekiem wydała. Zuzanna, wsparta w zamyśleniu o biórko, przerzucała leżące na niem papiery. Naraz, z sąsiedniego pokoju doleciał nas płaczliwy głos Piotrusia, który widocznie nudząc się w samotności, przywoływał matkę na pomoc. Żona moja w milczeniu, posunęła się wolnym krokiem ku drzwiom.

— Gdzie idziesz? — zapytałem.

— Do dziecka — słyszysz przecież, że mnie woła.

Oczy jej suche były, ale gdy drzwi zamknęły się za nią, usłyszałem gwałtowne jej łkanie, przenikające mnie do głębi serca. Nie wiem jakie fałszywe uczucie wstydu wstrzymało mnie, żem nie poszedł za nią.

Cała już doba od tej chwili upłynęła, a ja nie mogę odzyskać spokoju umysłu. Dziś rano Zuzanna miała zaczerwienione oczy, ale nic nie mówiła i ja tyle jeszcze miałem mocy nad sobą, że nie przerwałem drażliwego milczenia. W ciągu dnia odwiedziła nas pani de Haintenois, najmniejszą jednak wzmianką nie poruszyła wypadków wczorajszego dnia... Czemuż nie mam cię przy sobie! ty najlepszą byś mógł udzielić mi radę, w ciężkich tych przejściach domowych. Ale, pomijając już osobiste moje sprawy, czemuż to, w samej rzeczy, nie powracasz dotąd?...

(Dok. nast.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Kilka uwag o podstawie i granicach filozofii przez Dra Stefana Pawlickiego. Kraków 1878 r.*)

(*Dokończenie*).

Krytykując Kantowskie kategorye rozumu, autor powiada, że ponieważ mają one znaczenie czysto podmiotowe, więc nic nas nie upoważnia do przenoszenia ich na zewnątrz naszego ja; że zatem kategorya przyczynowości, jak ją Kant pojmuje, nietylko nie zwalcza skeptycyzmu Huma, ale podaje mu nową broń do ręki. Uwaga słuszna, nie pozostawiająca nic do życzenia, jakkolwiek nie nowa. Ale cóż, kiedy zabrawszy się do rozprawy z Humem, sam dopuszcza się grzechu, jaki przed chwilą Kantowi wytknął! Rozumowanie autora w tej rzeczy jest następujące: „Doświadczenie bezpośrednie uczy mnie, że nietylko bierną, lecz i czynną jestem istotą. Czyny moje zawisły od woli mojej. Czynu bezemnie być nie może, on jest wynikiem jestestwa mego. Ma się on do mego jestestwa, jak wypływ do źródła, utwor do twórcy, dziecko do rodzica. Ten stosunek poufały, prawie rodzicielski, między źródłem bytu, a tem, co z niego powstało, nazywamy *przyczynowością*“. „A więc przyczynowością, konkluduje autor — nie jest mechaniczne następstwo dwóch faktów, ale *ontologiczne wydobywanie* się faktu, nie będącego jeszcze z istoty, która go do bytu powołała“. Jak autor z pierwszej części swego rozumowania przyszedł do owego prawdziwie akuszerskiego pojęcia przyczynowości, jako zasady powszechnej, tego żadna logika nie wyjaśni. Jest to właściwy ks. Pawlickiemu sposób rozumowania, że konkluzya u niego sięga o wiele dalej, niż na to pozwalają przesłanki. Zanim ks. Pawlicki będzie mógł przenieść zasadę przyczynowości, jak ją sobie wyrobił na podstawie bezpośredniego doświadczenia, w świat zewnętrzny, musi nam wprzódy dowieść, że nie sprzeciwia się ona w niczem doświadczeniu pośredniemu, doświadczeniu zmysłów. Że przyczynowością nie jest proste następstwo dwóch faktów, na to zgoda; ale żeby miało nią być

ontologiczne wydobywanie się faktu, nie będącego z jakiegoś bytu, na to będzie mógł przystać chyba ten, komu ks. Pawlicki odkryje tajemnicę ontologicznego wydobywania się. Zresztą sam autor zbija swą konkluzyą ustępem, w którym zapytuje siebie: Czy metafizyka ma odważyć się na tłumaczenie zmysłowego obcobytu? Odpowiedź na to daje następującą: „Jeżeli metafizyka na bezpośredniem opiera się doświadczeniu i z niego prawdy swoje wysnuwa, nie może wprost decydować o prawdach, pochodzących z innego źródła". Zdaniem tem podpisuje autor wyrok na samego siebie, albowiem jak widzieliśmy decyduje wprost, że przyczynowość w umysłowym obcobycie jest tem samem, czem się okazuje na stanowisku bezpośredniego doświadczenia. Ciągnąc rzecz dalej, powiada autor: „Metafizyka tyle tylko wie, że prawdy, pochodzące z obcego źródła, nie mogą sprzeciwiać się jej pewnikom". Zkąd metafizyka wie o tem? i dla czego prawdy, pochodzące z obcego źródła, nie mogą sprzeciwiać się pewnikom metafizyki? Odpowiedzi na to autor nam nie daje, chyba, że za odpowiedź będziemy uważać ustęp na 10 str. „Czemby były prawa myślenia, tak różnorodne w jednostajności swojej, gdyby im nie odpowiadał świat rzeczywisty i t. d.?!"

Z powyższego pojęcia przyczynowości, które, jak widzieliśmy, jest tak samo subjektywnem, jak i Kantowska kategorya, wyprowadza autor zasadę: każde jestestwo zależne ma swoją racyą bytu w istocie niezależnej. Dalej zaś powiada: „Wydobywając zaś z tej zasady, również konieczną i obowiązującej, jak główna zasada poznania, wszystkie w niej zawarte wnioski, utworzę sobie dokładne pojęcie o niezależnym bycie, nie apryorystycznym wywodem, lecz biorąc treść całą z bezpośredniego doświadczenia. Potrzeba tylko usunąć wszelką zależność i skutkowość, a wtedy cechy niezależności i przyczyny, pozbawione więzów ludzkiej osobistości, rozszerzą się w pojęcie niezależnej osobistości". Każdy, kto się pilniej wczyta w cały ten ustęp, z łatwością się przekona, że to rozszerzone pojęcie, powstałe naprzód drogą negacyi, a następnie wypełnione treścią wziętą z bezpośredniego doświadczenia, nie jest i nie może być czem innem, jak pojęciem rozumowem, którego główną cechę stanowi subjektywizm. Posłuchajmy zresztą, co autor z powodu ontologistów powiada o rozumowem usiłowaniu wytłumaczenia sobie absolutnego bytu. „Mają oni racyą, że zaczynają od czegoś bezpośredniego, ale łudzą się, mniemając, że widzą byt absolutny. Bo intuicya bezpośrednia w niczem się nie różni od wiedzy bezpośredniej, a bezpośrednio podmiot myślący *zna tylko siebie i czyny swoje*, które gdy do poznania się odnoszą, są pojęciami. Może umysł bezpośrednio widzieć ideę bytu, ale to *nie byt*, to tylko jego pojęcie. Są pojęcia, którym żaden *przedmiot rzeczywisty nie odpowiada*".

Na tem kończę swą krytykę. Czytelnik mógł zauważyć, że w swej rozprawie z ks. Pawlickim trzymałem się ściśle na bezstronnem stanowisku logiki, która w równej mierze obowiązuje tak pozytywistę, jak spirytualistę. Pomijałem naumyślnie zasadniczy rozbiór kwestyi spornych, których rozstrzyganie nie należy do ulotnych artykułów. Szło mi głównie o to, ażeby wykazać, że konkursowa praca ks. Pawlickiego żadnej nie ma wartości pod względem naukowym. Jeżeli bowiem mogło jej co nadać jakąś wagę, to ów oryginalny pomysł autora o wiedzy bezpośredniej i pośredniej. Widzieliśmy wszakże, że pomysł ów nie wytrzymuje ścisłej krytyki, grzeszy dowolnością, brakiem logiki i staje się obfitem źródłem sprzeczności, z których autor usiłuje wywikłać się i bądź co bądź dotrzeć do swego za pomocą rozmaitych sztuczek dyalektycznej gimnastyki. Autor swą teoryą zamierzył naprawić to, czego Kant zrobić nie umiał — rzucić most między światem podmiotowym a przedmiotowym. Mostu tego jednakże nie zbudował i tak samo jak Kant pozostał na brzegu subjektywizmu, zarzuciwszy na brzeg przeciwny wątłą nić myślenia, po której żyjąca istota nie przeprawi się. Inne zaś części pracy ks. Pawlickiego podrzędne mają znaczenie. Występuje w nich autor, jako prosty sprawozdawca, streszczający ostatnie nabytki nauki. A jakkolwiek daje w nich dowód gruntownego obeznania się z traktowanym przedmiotem, grzeszy przecież i tu, jak wszędzie indziej, zbytecznym pospiechem. Naturalnie, trudno wymagać od autora dziełka nie wielkiej objętości, żeby poruszone przez siebie kwestye traktował wyczerpująco; zwolnienie to wszakże od podobnego obowiązku upada tym razem z powodu, że książeczka ks. Pawlickiego napisana jest w celu osiągnięcia katedry filozofii. Stając do konkursu, powinien był wystąpić z pracą ściśle naukową, ale nie z rzeczą dyletancką, która właściwsze znalazłaby dla siebie miejsce w jakiem pismie peryodycznem. Autor wiedział zapewne z góry, że w członkach komisyi krakowskiego uniwersytetu będzie miał sędziów pobłażliwych, bardziej zwracających uwagę na literacką stronę jego pracy, jak na naukową. Jakoż literacka strona dziełka ks. Pawlickiego opracowana z taką starannością, na jaką tylko stać go było. Język jego wytworny, posunięty do przesady, że zakrawa na manieryzm. Nie czuć w nim tej swobody, z jaką spotykamy się w innych pracach ks. Pawlickiego; jest on sztywny i wymuszony, jak chód prowincyonalnego eleganta, mającego ciasne obuwie. Chciał autor widocznie zaimponować stylem członkom komisyi, o których wiedział, że mają słabostkę do retorycznej frazeologii. Zamiaru swego dopiął. Jeżeli bowiem po głębszem rozczytaniu się i rozpatrzeniu w pracy księdza Pawlickiego, robi ona bardzo smutne wrażenie, tak że mimowoli nasuwa się pytanie, czy nie chciał ks. Pawlicki zażartować sobie z krakowskiego uniwersytetu; za to przy pierwszem odczytaniu imponuje starannością formy i pozorną oryginalnością poglądów.

Na zakończenie pozwalam sobie zrobić jeszcze jedną uwagę. Ks. Pawlicki niejednokrotnie napomyka w swem dziełku, że filozofia jest nauką niezawisłą, nie mającą z teologią nic wspólnego. Gołosłowne to wszakże zapewnienie nikogo nie może zadowolić. Łatwo mówić o niezawisłości filozofii, robiąc z niej naukę o *bycie, o ile jest bytem*, stawiąc ją na stanowisku ogólnikowem, na mglistych wyżynach, z których nikną przed okiem szczegóły rzeczywistego bytu; w innem atoli przedstawia się rzecz świetle, gdy zejdziemy na poziom rzeczywistych stosunków i zetkniemy się oko w oko z rozmaitemi kwestyami, w których trzeba na jedno zdecydować się — albo uznawszy rozum za najwyższą w nauce powagę, stanąć po stronie nauki, albo przeciwnie, stawiąc po nad rozumem objawienie, poddać się z pokorą postanowieniom kościoła. To też jeżeli ks. Pawlicki w ostatniej swej pracy, z samego założenia ogólnikowej i ogólnikowej ze sposobu traktowania rzeczy, zdaje się być istotnie filozofem niezawisłym, opierającym się wyłącznie na rozumie; za to w innych pismach swoich, poświęconych kwestyom specyalnym, niezawisłość ta przedstawia się w charakterze bardzo problematycznym. Wprawdzie ks. Pawlicki nigdy nie zdejmuje z siebie togi patentowanego uczonego i podpisując się na swych pracach tytułem doktora filozofii z pominięciem swego kapłańskiego charakteru, przemawia zawsze w imieniu nauki, ale nauki usankcyonowanej przez kościół — ad usum Delphini. W ten sposób stwierdzana przez ks. Pawlickiego niezawisłość filozofii i w ogóle wiedzy przyrodzonej, podobną jest do wolności ptaszka, zamkniętego w klatce. Wolno mu skakać jak, gdzie i kiedy mu się podoba, nie wolno mu tylko z klatki wylecieć.

Niepodobna naturalnie wymagać od księdza, a szczególniej od członka zgromadzenia zmartwychwstańców, wyrzekającego się przy poświęceniu swej woli i zaprzysięgającego ślepe posłuszeństwo przełożonym, ażeby łamiąc zakonne śluby, wyzwalał swój rozum z pod supremacyi kościelnych dogmatów; ale mamy prawo wymagać, żeby ks. Pawlicki nie występował z Janusowem obliczem, raz jako doktor filozofii, uznający rozum za najwyższą powagę, drugi raz jako ksiądz, dla którego objawienie ma większą pewność nawet od wiedzy bezpośredniej. (To znaczy, że objawienie boskie większą ma pewność dla człowieka, jak przekonanie jego o tem, że jest, że słyszy, że chodzi i t. d.). Taka dwulicowość jest co najmniej komedyą, jeżeli nie hypokryzyą, jezuicką sztuczką, używającą wabika dla ułowienia naiwnych i prostodusznych umysłów.

Jaką niezależność przyznaje rozumowi ludzkiemu kościół i jaką bronią walczą jego obrońcy, uczy nas dokładnie wyszła świeżo broszura pod tytułem: Rozbiór krytyczny dzieła Wilhelma Drapera pod tytułem: „Historya zatargu religii z nauką". Autor tej broszury nazywa dzieła Drapera elukubracyami. Mamy zresztą podobnąż próbkę i w pracy ks. Pawlickiego, który mówiąc o Darwinie, zarzuca mu nieznajomość zupełną bardzo wielu rzeczy, a w tej liczbie nawet fizyologii. Czy sam ks. Pawlicki jest fizyologiem? czy przynajmniej zna ją w takim stopniu, ażeby mógł sumiennie utrzymywać, że Darwin nie zna fizyologii? Jeżeliby można było opierać sąd na pojedyńczym fakcie, to miałbym prawo powiedzieć, że to ks. Pawlicki nie zna fizyologii. Zasadą dzisiejszej fizyologii nie jest aksyomat: *Omne vivum ex ovo*, jak to utrzymuje autor w swej pracy, ale — *omne vivum ex cellula.*

Władysław Kozłowski.

(*Siostra mojej żony, obrazek z życia wiejskiego, naszkicował autor „Kłopotów starego komendanta". Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1878*).

Jak we wszystkich utworach pana Wilczyńskiego, tak i w tym obrazku, który, mówiąc nawiasem, rozrósł się do rozmiarów obszernej jednotomowej powieści, fabuła odgrywa podrzędną rolę, a wszystka siła leży w sposobie przedstawienia, w tonie opowiadania, w żywem, plastycznem malowaniu codziennych, domowych stosunków. W istocie należy podziwiać tę siłę, jak umie ona rzeczy drobne, stosunki najzwyczajniejsze, które zdają się nie zawierać w sobie nic zajmującego, tak podać i opowiedzieć, iż książka czyta się jednym tchem od początku do końca.

Jak prawie wszystkie powiastki autora Kłopotów i „Siostra mojej żony" jest opowiadaniem

jednej z osób występujących w powieści. Opowiadającym jest tu p. August, gospodarz wiejski, dobroduszny egoista, nie kryjący się wcale, iż zostaje pod stanowczą przewagą swojej żony, Lucynki, która jest energiczną a bardzo miłą kobieciną. Czasami jednak i panu Augustowi się zdaje, że się go boją, że gdy zechce, potrafi postawić na swojem, ale to szczęśliwe złudzenie nie wytrzymuje pierwszej próby i trochę łez, zły humor, a czasem jedno skrzywienie się Lucynki robi z pana Augusta najpowolniejszego sługę życzeń swej żony.

Jeżeli pana Augusta nazwałem dobrodusznym egoistą, to jest człowiekiem, który nikomu wprawdzie źle nie życzy, ale nie ma najmniejszej ochoty do zajmowania się cudzem szczęściem i pragnie tylko dla siebie wygody i spokoju, to Lucynce należy się wręcz przeciwny tytuł. Panią Augustową żywo obchodzi los bliskich osób i gotowa ona z całem poświęceniem oddać się sprawie cudzego szczęścia, na czem najgorzej wychodzi mąż nieustannie wyrywany z miłego spokoju. Bawi przy Lucynce jej siostra, ośmnastoletnia panna Michalina, łatwo podlegająca fluksyi i z pewną niedokładnością na plecach; ale niedokładność ta, dzięki pomocy Lucynki, tak jest dobrze wyrównaną, że jej nie znać wcale, i pannę Michalinę, wziętą en bloc, można uważać za przystojną pannę, na którą nawet sam p. August, pomimo swoich wygadywań na jej chorowitość, lubi czasem spojrzeć przyjemnym wzrokiem. Otóż tej pannie Michalinie wpadł w oko (może dlatego, że nikogo innego nie widziała koło siebie) szkolny kolega Augusta, pan Maciej Prętowski, bawiący na wsi w charakterze geometry. „Był to człowiek już nie młody, wdowiec, dziobaty, różowy na twarzy, trochę łysy, krzykliwy i wycierający sobie nogi regularnie co wieczór mrówczanym spirytusem“.

Charakterystyka niezbyt zalecająca, a jednak musiał być pan Maciej trochę ładniejszy od dyabła, skoro się pannie podobał. Był to przytem dobry chłop i niesłychanie zacięty w swoich postanowieniach, czem się stanowczo różnił od pana Augusta.

Ponieważ panu Maciejowi wzajem podobała się panna Michalina, więc Lucynka zabrała się natychmiast do skojarzenia tego małżeństwa. Potrzeba było przełamać opór męża, który miał rozmaite powody nie życzyć sobie tego małżeństwa. Opór ten przełamany został bardzo prędko, ksiądz proboszcz Jozafat, wyborna postać poczciwego starowiny, zaręczył młodą parę, i zabrano się do nader ważnych narad nad wyprawą, która jak chmura gradowa zawisła nad panem Augustem. Wyborny opis tych narad, w których pan mąż odgrywa rolę kozła ofiarnego, wydaje się jakby fotograficznem odbiciem jakiejś rzeczywistej sceny.

Tymczasem pan Maciej pojechał do Warszawy, aby wyszukać mieszkanie dla swojej przyszłej. W parę tygodni po jego odjeździe zjawia się w Polance (wioska pana Augusta), jakiś żydek szejne morejne z Warszawy z listem od p Macieja i z cudowną propozycyą, że jakiś niemłody, bogaty pan, nie mający rodziny, chciałby w jakimś domu wiejskim zamieszkać, za to gotów pożyczyć cały swój kapitał na mały procent etc. Panu Augustowi ciągle trapionemu pieniężnymi kłopotami, uśmiecha się mile ta myśl, nie bardzo jednak dowierza żydkowi, ale go Lucynka popycha i niebawem cała rodzina jedzie do Warszawy, kobiety dla sprawunków na wyprawę, p. August dla zrobienia dobrego interesu z nieznajomym panem.

Dobry interes okazuje się oszustwem żydka, który wyłudziwszy dość pieniędzy od p. Augusta, umyka. Pan Maciej, rozzłoszczony na żyda, którego rekomendował, puszcza się zanim w pogoń, w zagorzalstwie swojem nie pożegnawszy się nawet z narzeczoną, która jest pewną, że ją porzucił. Licząc na dobry interes, kobiety zakupiły wyprawę, a tu ani narzeczonego nie ma, ani pieniędzy. P. August musi wracać na wieś, aby zkądkolwiek bądź wydostać pieniędzy dla wykupienia kobiet z niewoli. Ten powrót jego na wieś i przybycie do domu, gdzie podczas nieobecności państwa, największy rozsiadł się nieład, jest jednym z najhumorystyczniejszych ustępów powieści i w całej pełni okazuje szczególną zdolność autora do malowania kłopotliwych sytuacyi.

Na wydostaniu pieniędzy i powrocie kobiet z wyprawą, ale bez narzeczonego, kończy się pierwsza część powieści. Druga część nosi tytuł „Gość miejski na wsi“ i opowiada zabiegi Lucynki w celu pozyskania nowego konkurenta dla Michalinki. Tym nowym mniemanym konkurentem jest brat stryjeczny p. Augusta, niemłody już kawaler, który raz w Warszawie najzwyczajniejszą jakąś grzeczność zrobił dla Michalinki i ztąd pewność, że mu się bardzo podobała. Pan Ksawery zaprosił się do brata na wieś, chcąc użyć powietrza wiejskiego i wiejskich rozrywek i podreperować zdrowie, nadwątlone siedzącem życiem biorowem, ale mu przez myśl nie przeszło małżeństwo z Michalinką. To nieporozumienie stanowi główny motyw humorystyczny drugiej części; obok tego pełno humoru w opowiadaniu przygód myśliwskich i rybołowskich pana Ksawerego, i kłopotów pana Augusta, na którym zawsze wszystko się krupi. Nieporozumienie rozjaśnia się wreszcie, ale na szczęście zjawia się w samą porę pan Maciej, który dokazał swego, i po długich gonitwach przycapił gdzieś żyda, a teraz przybył upomnieć się o swoją narzeczoną. Miękkie serce Michalinki przebacza panu Maciejowi półroczne milczenie i — rzecz skończona.

Z opowiedzianej treści widzimy, że temat powieści nie zawiera w sobie nic, coby mogło drażnić, pobudzać, rozpalać ciekawość, żadnych tragicznych półcieni, żadnych hucznych efektów komicznych, a przecież książka, o której mówimy, jest najmilszą lekturą, jaką dziś znaleść można w naszem powieściopisarstwie. Zachwyca nas prawda, którą spotykamy na każdym kroku, w każdym drobnym szczególe, prawda podana spokojnie i nieco niedbale, co właśnie stanowi bardzo miłą charakterystykę tonu opowiadania.

Najlepiej dadzą się porównać powiastki pana Wilczyńskiego do obrazków szkoły flamandzkiej. Jak tu, tak tam, życie poziome, potoczne, wchodzi w ramy sztuki siłą naturalności i prawdy przedstawienia, jak tu, tak i tam prawda okraszoną jest humorem, który każdą najpowszedniejszą rzecz zdoła zrobić miłą i zajmującą. *J. T.*

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 6. czerwca.

Sławnym był niegdyś kalendarz Berdyczowski w swoich przepowiedniach pogody, którémi zachwycała się szlachta, odgadując je jak najciekawsze szarady. Między innemi przypomni nam sobie jednę, wybornie dającą się zastosować do obecnej wielkiej sytuacyi europejskiej i małej sytuacyi lwowskiej tej treści: „wiatr z deszczem na pogodę godzą.“ Tu pokój, kongres, serdeczna zgoda Moskwy z Anglią, a z drugiej strony po nad modrym Dunajem wiatr z deszczem w postaci brzemiennej w te akcesorya mowy hr. Andrassego. Gwałtem mu się zachciało sześćdziesięciu milionów i powiada delegacyom w ten sposób, jak ów żołnierz stojący na kwaterze u chłopa swemu gospodarzowi: „albo ja z gospodynią pójdę do kościoła na nabożeństwo, a wy zostaniecie w domu, albo wy gospodarzu idźcie do kościoła, a ja z gospodynią zostanę w domu.“ Będzie pokój? — dajcie 60 milionów; nie będzie kongresu? — również dajcie te miliony. A będzie jedno i drugie? to zawsze zda się 60 milionów. Oto mi filozofia i upór prawdziwie madziarski. Nic tylko same ewentualności w grę wchodzą, a za niemi, jak żołnierz na warcie, interes austro-węgierski, honor austro-węgierski, interesa europejskie, sprawiedliwość dziejowa, traktaty itp. rzeczy... a swoją drogą miliony.

Wiedziałem ja naprzód, że hr. Andrassy ma racyą! Kto słyszał wyznaczać termin zebrania się kongresu na 13go, jest to dzień najbardziej feralny ze wszystkich bimiliardowych cyfr arytmetycznych. Ja, biedny kronikarz daleko biedniejszego od kwestyi wschodniej tygodnia, nie odważę się nigdy zacząć mojej bazgraniny w dniu noszącym cyfrę trzynastego, dla tego też nie mogę wyjść ze zdziwienia jak taki mąż stanu, naprzykład Bismark, człowiek doświadczony w życiu, no i nie głupi, i w sprawach trochę ważniejszych niż moja kronika tygodniowa, może przypuszczać, że kongres zapowiedziany pod tak złowrogą trzynastkową cyfrą zapewni jakiebądź dodatnie rezultaty Europie?

Jak przewidywałem, tak też wszystko się w tym sensie składa. Najprzód król Wilhelm (ma się rozumieć okręt pancerny nie osoba) przywłaszczywszy sobie atrybucye naszego poczciwego pisma humorystycznego we Lwowie, dał takiego szczutka Wielkiemu Kurfürstowi (także pancernikowi a nie osobie) pod Folkenstone, że ten biedak mimo swoich 24 krupów i pięciuset korpulentnych Prusaków na pokładzie, w cztery minuty dał nurka pod wodę. W tym względzie przyznaję, lepiej mu się szturknięcie udało niż naszemu „Szczutkowi,“ który od kilku lat próbuje tego samego na osobie pewnego dygnitarza, a mimo to jego nawa pływa dość szczęśliwie na falach austryacko-węgierskiego oceanu. Niech przebaczą mi szanowni Germanowie, ale też niepotrzebnie im się zachciało popisywać się ze swoją zręcznością przed Anglikami... Gdzie ciężkiemu Prusakowi iść w zawody z marynarską galanteryą Anglików! Przez grzeczność dla jakiegoś kupieckiego statku, któremu chcieli zejść z drogi, dopuścili się na swych osobach takiego pojedynku, z którego te morskie brytany tylko się teraz śmieją...

Dalej Moskale, trzymając się swego narodowego przysłowia, kiedy ich kto przyłapie na gorącym uczynku, mówiąc z rezygnacyą *„waźmi kahda twajo“* — zdecydowali się oddać Europie do rozpatrzenia całą San-Stefańską historyą miłostek swoich z Turcyą... Oddali to prawda, ale zaraz postanowili zadać kongresowi szacha i to nie jakiegoś tam szacha z gry, ale najprawdziwszego Szacha w osobie Jego-królewskiej Perskiej Mości w baraniej spiczastej czapce. Sprowadzili go do Petersburga, posłali go do Warszawy, kazali go wykąpać w parowej łaźni Fajansa i wyprawili

do Berlina z instrukcyą dania *mata* kongresowi. A Warszawa przyjęła godnie reprezentanta Lwa i Słońca, przystroiła się flagami na prośbę pana ober-policmajstra, wymyła się, wyczesała, oświetliła, sprzedawszy mu zarazem dwa powozy.... Nasi kupcy lwowscy o mało że nie popękają ze złości i zazdrości... co uwzględniając „Dziennik Polski," obiecał nam, że Szach wracając do Persyi, niezawodnie o Lwów zaczepi w jesieni.... Kwestya tylko z czem? Bo owe dwadzieścia osiem milionów franków, które wiezie w owych trzydziestu orzechowych skrzyniach z sobą, mogą się ulotnić podczas podróży po Europie, a nam jeszcze wypadnie dać co na drogę synowi słońca, aby się dostał do Teheranu... Dziękujemy za takiego Szacha, co na wzór świętego tureckiego chce do nas przyjechać!

Do tej samej feralnej trzynastki musimy odnieść i owe fatalne polowanie doktora agronomicznego Nobilinga w Berlinie, jakie sobie wyprawił z okna drugiego piętra ulicy Unter den Linden. Fakt sam zamachu, w tak krótkim czasie powtórzonego, jest bardzo smutnym objawem zgangrenowania społeczeństwa niemieckiego — i daje wiele mówiący precedens i komentarz zasady: „Siła przed prawem..." Wielki kanclerz niemiecki, targając zuchwale więzy moralności publicznej, jaką chrystyanizm przyniósł ludzkości, przeliczył się bardzo w skutkach, jakie lekceważenie praw boskich i ludzkich za sobą pociąga. Bolejemy nad tym wypadkiem, lecz z drugiej strony, ta widoczna Nemezis dziejowa ostudzi może zuchwalstwo chwilowych tryumfatorów i pokaże im, że jest, żyje i żyć będzie, dopóki wszelkiej sprawiedliwości nie stanie się zadosyć... A i my jej od lat stu czekamy, my dzieci przemocy, nie tracąc nadziei, że ta sprawiedliwość dziejowa ocknie się kiedyś.

Jeszcze do ogólnych symptomatów tego wiatru i deszczu, godzących na pogodę, należy odkrycie dr. Hermana Kleina, że wulkany na księżycu żyją i myślą wybuchać na nowo, przynajmniej tak zapewnia szanowny astronom, przypatrując się często naszemu satelicie. Obawiamy się tylko, aby nie wybuchnął na 13. czerwca, właśnie w dzień zebrania się kongresu, bo już jak co nie idzie, to nie idzie, i moce niebieskie gotowe przyjść z pomocą dziełu nieudania się, jak to robią zapowiedzianym festynom akademickim na Górze Zamkowej. Technicy rozwinęli całą swoją młodzieńczą działalność, lecz podobno skutek brzęczący nie bardzo odpowie oczekiwaniom.

Mniejszy trochę wybuch niż na księżycu, miał miejsce między literatami naszymi, z powodu odkrycia nowego wulkanu literackiego, a jak „Gazeta Narodowa" zapewnia, grożącemu wstydem narodowym. Coś, gdzieś, ktoś wziął z rossyjskiej komedyi do powiastki. I ten ktoś przedtem nie znany ani redakcyi, ani czytelnikom „Gazety Narodowej," bo o jego istnieniu na świecie nigdy nie wspominano — naraz dostaje po przyjacielsku miejsce honorowe w fejletonie i tyle krzyku, bombastu, harmideru jakby już literacki Hannibal stał ante portas... Zabić, zdusić, wyrwać pióro z ręki, skazać na zatracenie... I to u nas we Lwowie nazywa się strażą interesów patryotycznych czystej wody — zasługą przyjacielsko-koleżeńską.... Biedni ci powieściopisarze nasi: biorą z życia — setki obrażonych, którym się zdaje, że ich odwzorowano, napadają ich w listach, wymyślają, grożą; na ulicy odwracają głowy, w towarzystwie nie znają, robiąc tak słodkie miny jak sok niedojrzałej cytryny. Biorą z książek? krytycy rzucają na nich błotem wołając: plagiat; biorą z imaginacyi? publiczność odsuwa książkę oświadczając, że nie ma w tem za grosz prawdy... a tylko fiksacya umysłowa. Powiedzcie mi zatem czytelnicy zkąd brać? i dla czego za co i po co pisać powieści? Pod względem materyalnego wynagrodzenia stoją cokolwiek niżej od czeladników krawieckich, a pod względem moralnej satysfakcyi — mają ten preferans przed dorożkarzem, że temu ostatniemu wymyśla się czasami ustnie jak źle powozi, a powieściopisarzowi czy źle czy dobrze prowadzi — zawsze na drukowanym arkuszu zwanym gazetą. Bodaj to u nas być człowiekiem publicznym... przyjemności i sławy można nazbierać do woli, a z niemi przez bramy szpitali przejść do potomności.

Teatr się rozsypał: p. Terenkoczy z gotową sakwą na laury pojechał do Warszawy, opera powędrowała w różne strony świata, a pozostała esencya sił dramatycznych lwowskich, spróbowała tych sił na własną rękę, urządzając widowiska w ścieśnionym szeregu po cenach zniżonych. I dziwna rzecz, wtorkowe przedstawienie zapełniło teatr, czyli jak „Gazeta Narodowa" wyraża, *został on rozsprzedany*, a publiczność nie mogła sobie dać rady z przywoływaniem tak uszczuplonego personalu. Grano komedyę tłumaczoną z niemieckiego „Niech jedzie na wieś," a grano z taką precyzyą, z taką werwą i ładem, od jakich już dawno odwykła publiczność lwowska. Nic też dziwnego, że dały się słyszeć głosy, aby dawna reżyserya mogła tak samo pojechawszy ze Lwowa tak prędko, aby też wcale już nie wracać... Teatrowi szkody to nie przyniesie.

W końcu muszę czytelnikom zakomunikować nowość odnoszącą się do socyalistów. Wszyscyśmy byli zdania, że stowarzyszenie to jest dziełem ubiegłych lat kilkunastu, nowością dziewiętnastego wieku, a tymczasem c. k. policya lwowska jest innego zdania, bo właśnie w lokalu Towarzystwa archeologicznego odbywała w tych dniach rewizyą, szukając socyalizmu... Jakto czasem i erudycya policyjna na coś przydać się może, dla tego z wielką niecierpliwością oczekujemy z tej strony odnośnego sprawozdania dla dobra nauki.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Bliziński Józef.* Pan Damazy, komedya konkursowa w 4 aktach. 8ka, str. 62. Lwów, 1878. 1 złr.

— *Hoffman Fr.* Ten co po nad obłokami. Przełożył Stanisław Kunasiewicz. Z czterema rycinami. 8ka, str. 157. Brody, 1878. Kartonowane. 50 ct.

— *Lassalle Ferdynand.* Pośrednie podatki i położenie klas pracujących. Obrona przed król. sądem fiskalnym w Berlinie, z powodu oskarżenia o jawne wywoływanie w proletaryacie nienawiści i pogardy ku klasom zamożnym, przełożył K. W. 8ka, str. 111. Lwów, 1878. 50 ct.

— *Listy Jana Śniadeckiego* w sprawach publicznych od roku 1788 do 1830 pisano z autografów. Wstęp i przypiski J. I. Kraszewskiego. 8ka, str. 206. Poznań, 1878. 2.60.

— *Zacharjasiewicz Jan.* Krzesło królewskie. Powieść współczesna. 8ka, str. 276. Poznań, 1878. 2 złr. 93 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Na *Złote myśli* przedpłacili:

42. Wny Żubrowski w Horodence.

Uwaga. Ponieważ *Złote myśli* wyjdą dopiero w lipcu, przeto przedpłata przyjmuje się aż do tego czasu.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Dowiadujemy się, iż rząd dał już pozwolenie na wydawanie pisma polskiego w Petersburgu. Projekt ten istniał od dawna, ale rząd stawiał ciągle trudności.

*** Pan Władysław Bełza, został dnia 29 maja, wybrany członkiem korespondentem Towarzystwa naukowego Poznańskiego.

*** Kościół maryacki w Krakowie został opisany przez Wilh. Gąsiorowskiego, podług źródeł archiwalnych tejże świątyni. Autor, znany z mrówczej pracy, ma przygotowane opisy innych kościołów krakowskich. Dotąd biografowie kościoła pomienionego zajmowali się tylko szczegółami, rozprawiano o robotach Wita Stwosza, wieżycach i t. d. lecz nikt nie ujął całości, powtarzając to, co już dawno powiedzieli Bruszcz i Grabowski. Pierwszy dopiero Gąsiorowski na podstawie aktów dał wyczerpujący opis przedmiotu.

*** Kuropatwa doczekała się monografii pióra Kazimierza hr. Wodzickiego, który już czwartą pracą w zakresie ornitologii literaturze krajowej się przysłużył.

*** Książki dotyczące kwestyi żydowskiej w ostatnich czasach nadzwyczaj się rozmnożyły; mamy znów do zanotowania pracę pani Orzeszkowej w tej mierze, która obejmuje rzecz o żydach pod względem dziejowym i społecznym, opartą na źródłach najświeższych; szan. autorka dzięki współudziałowi miejscowej ludności, miała sobie dostarczone wszystkie materyały możliwe, do przedmiotu rzeczonego w kraju naszym w wieku bieżącym wydane.

*** Wacław Aleksander Maciejowski ukończył pisać i ogłosi wkrótce drukiem ciekawą pracę p. t. „Żydzi w Polsce na Rusi i Litwie, czyli opowieść historyczna o przybyciu dziatwy Izraela do pomienionych krajów, powodzeniu jej tamże w przestworze wieków VIII — XVIII." Praca ta stanowi dodatek do historyi prawodawstw słowiańskich.

Do rozprawy tej dołączone będą cztery dodatki tej treści: 1) Pogląd na źródła historyi żydów w Polsce, na Rusi i Litwie i na obrobienie tych źródeł; 2) Projekt Borgiasza Piekarskiego r. 1792 z zaciągnięciem wiedzy z pism urzędowych o Żydach ułożony. 3) Opiekunowie żydów w Niemczech, byli hrabiowie Dalberg, na Litwie książęta Radziwiłowie. 4) Żyd miał być Królem Polskim w roku 1557 przez jeden dzień.

*** Do albumu artystycznego dla J. I. Kraszewskiego, jak donosi „Biesiada literacka", malarze nasi zaczynają już nadsyłać swe prace. Henryk Siemiradzki zaofiarował szkic olejny zatytułowany „Hypathos" podług powieści Caprea i Roma. Szkic ten ma posiadać wszystkie zalety twórcy Świeczników chrześciaństwa. Innych prac już się nazbierało kilkadziesiąt — obiecanych też jest dużo. Pan Wojciech Gerson zrobił rysunek do okładki albumowej: pośrodku popiersie jubilata, w narożnikach postacie alegoryczne poezyi, malarstwa, rzeźby i architektury. Okładkę podług tego rysunku wykona jeden z tutejszych rzeźbiarzy w wypukłorzeźbie na drzewie.

*** Pan Witold Aleksandrowicz, profesor śpiewu w Medyolanie, posiada rzeczywisty dar wyszukiwania talentów śpiewaczych i torowania im dróg prawdziwego artyzmu. Otrzymujemy właśnie wyjątki z czterech gazet weneckich, donoszących o debiucie uczennicy p. Aleksandrowicza, panny Zofii Różanowskiej, w teatrze Malibran. Młoda śpiewaczka, obdarzona pięknym głosem kontraltowym, odśpiewała partyą Siebla w „Fauście". Nie mogąc dla braku miejsca podać wszystkich nadesłanych nam wyjątków, ograniczamy się na jednym tylko wziętym z dziennika „Il Tempo":

Rolę Siebla odśpiewała panna Różanowska, młodziutka debiutantka, która posiada zdumiewająco piękny głos kontraltowy, prawdziwy skarb. Była zakłopotaną, jak każda śpiewaczka pierwszy raz występująca na scenie, co jednak nie powstrzymało

pełnych zapału oklasków, jakimi ją obsypano po aryi kwiatami, którą odśpiewała doskonale. Odwagi, odwagi tylko, bo umie śpiewać i ma głos niezwykle piękny, a czeka ją najświetniejsza przyszłość.

*** W *Przeglądzie polskim* czytamy:

„*Biblioteka Mrówki*. Pod tym tytułem wydaje *Księgarnia Polska* we Lwowie z prawdziwie wzorową wytrwałością tanią bibliotekę czytelnym drukiem i po cenie bardzo przystępnej (10 do 35 ct za tom). Świeżo wyszło 25 tomików. Wydawnictwu temu radzimy: 1. żeby, jak w ostatnich czasach, tylko uznane arcydzieła drukowało; 2. żeby więcej dbało o staranną korektę. Natomiast mamy prawo wymagać od publiczności życzliwszego, niż dotąd poparcia. Śmiało powiedzieć można, że *Universal Bibliotek Reclama* rozchodzi się u nas w większej liczbie egzemplarzy, niż *Biblioteka Mrówki*. Gdyby udział publiczności był większy, jesteśmy przekonani, że i papier byłby w tem wydawnictwie lepszy i korekta staranniejsza i cena jeszcze niższa: Tomiki Nr. 46 — bo wydane w 1877 i 1878 r. zawierają następujące rzeczy:

Karol Brzozowski: Noc Strzelców w Anatolii.

Ignacy Krasicki: Satyry-Monachomachia i Antimonachomachia.

Seweryn Goszczyński: Oda — Anna z Nabrzeża.

Piotr Skarga: Wzywanie do pokuty.

K. Brodziński: Mowa o narodowości Polaków i Posłanie do braci wygnańców.

A. Malczewski: Marya.

Julian Słowacki: Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o Piekle—Jan Bielecki—Grób Agamemnona — Ksiądz Marek — Mazepa — Marya Stuart.

Teofil Lenartowicz: Lirenka (dotychczas kosztowała 1.50, w tem wydawnictwie 35 ct.) O polskim naczelniku Kościuszce i o racławickiej bitwie."

*** Na stuletnią rocznicę śmierci Woltera przygotowało stronnictwo liberałów i bezwyznaniowców wielką demonstracyę antichrześciańską w Paryżu. W dziennikach powstała z tego powodu polemika. Gmina paryska chciała Wolterowi wystawić pomnik, ale rząd zabronił; a biskup orleański Dupanloup napisał do radzców miejskich paryskich" Jeżeli wystawicie temu człowiekowi pomnik, to wyryjcie na nim słowa: „Wolterowi wdzięczna Polska; „krew Polski cięży na waszym liberalnym filozofie, a z tej krwi nigdy go nie zmyjecie."

Wynalazki i odkrycia.

*** Na wystawie paryskiej jednym z cudów sekcyi włoskiej jest, jak donosi „Fanfulla," mechaniczny stenograf. Jest on zupełnie podobny do fisharmoniki z 22 klawiszami; w środku znajduje się cylinder, pod którym przebiega skrawek papieru, podobnie jak przy telegrafie systemu Morsa. Wynalazcą stenografu jest niejaki Michela z Quassali pod Jorea w Piemonckim. Na wystawie dwie siostrzenice wynalazcy, obeznane z przyrządem, piszą od rana do wieczora we wszystkich, niezrozumiałych sobie nawet językach, gdyż machina powtarza fonicznie tony, które grająca słyszy. Praktyczny użytek przyrządu da się zastosować w parlamentach, sądach i zebraniach publicznych i być pomocnym nawet samym stenografom, z których każdy pojedyńczo może pełnić służbę za dziesięciu. Bądź co bądź, spodziewają się po tym przyrządzie wielkich korzyści.

Nekrologia.

† Apol. Kurowski, znany z r. 1863 dowódzca oddziału powstańczego, na czele którego walczył z Rossyanami pod Sosnowcami, Opatowem i Miechowem, umarł w Badenii dnia 11. zm.

† Ś. p. Ludwik Ostrowski, b. oficer b. w. p., kawaler krzyża virtuti militari, rozstał się z tym światem w 75 roku życia, we wsi Badurkach. Zmarły był przez lat kilkanaście radcą dyrekcyi szczegółowej warszawskiej Tow. kred. ziemskiego, oraz sędzią pokoju okręgu zgierskiego.

ROZMAITOŚCI.

*** W Berlinie skazaną została 18letnia dziewczyna, Joanna Wilhelmina Henryetta Raglin, na 9 miesięczne więzienie za obrazę majestatu. Miała ona w d. 11. maja po zamachu na cesarza Wilhelma powiedzieć: „Szkoda że chybił."

*** W Persyi widocznie mają spaczone pojęcia o gustach europejskich, skoro szach, wybierając się po raz pierwszy w podróż do Europy, nie przeczuwał nawet, jak wielką wziętość będzie tam miał „Lew", order perski Pomimo najlepszych chęci, Nasr-Eddin ledwie mógł dziesiątą część amatorów tego „Lwa" zadowolić. Obecnie, chcąc wszystkim, o ile możności dogodzić, postanowił on udzielać order in natura tylko osobom, pełniącym czynną służbę na dworach monarszych, inni zaś aspiranci dostawać będą odbicia na dyplomach. Rzeczą jest godną uwagi, że przy tej sposobności szach nie zaniedbał okazywać swej życzliwości dla państw chrześciańskich w sposób wysoce humanitarny. Aby pozbyć się całych legionów aspirantów do orderu, zgadza się on zadość uczynić żądaniu każdego z tych, kto złoży na ręce sekretarza stanu, arcysprytnego Francuza, sumę wynoszącą od 3 do 5 tysięcy rubli, wraz ze swoją fotografią, podawszy przytem nazwisko, stan i miejsce zamieszkania. Fundusz zebrany z tych pieniędzy, Nasr-Eddin przeznacza „na polepszenie moralnego i materyalnego bytu swoich poddanych europejskich." W Moskwie krąży już „Dekret Jego Królewskiej Mości Szacha" wydrukowany na grubym pergaminie w języku perskim i francuskim; oznajmia on, w szumnym stylu wschodnim, że władzca wszystkich monarchów raczył, za dar, wręczony przez p. N. N. sekretarzowi państwa, na rzecz chrześcian, mieszkających w Persyi, wyrazić temuż dobroczyńcy swoje najwyższe zadowolenie, i zarazem poleca mu, aby zawsze i wszędzie jako dowód swej czci dla wysokiego monarchy, nosił perski order „Lwa", wyobrażonego w dołączonem odbiciu. Aspiranci zatem, na zasadzie powyższego dokumentu, i zapłaciwszy, rozumie się od 3 do 5 tysięcy rubli, na korzyść europejskiego stowarzyszenia pomocy w Persyi, mogą „zawsze i wszędzie" nosić order, jeśli go według otrzymanego wzoru sami sobie u jubilera kupią.

*** Gniazdo pod szyną. Na dworcu w Darmsztadzie para skowronków usłała sobie gniazdko pod zwrotnicą kolejową w miejscu, przez które ciągle przechodzą pociągi i już nawet wywiodła młode. Służbie pociągowej wydano polecenie, ażeby nigdy przy tej zwrotnicy nie wypuszczała pary z lokomotywy. Na stacyi Aussig zaś w Czechach, już od zeszłego roku para skowronków gnieździ się pod szyną kolejową, przez którą ciągle przebiegają pociągi, tak, że w ostatnim miesiącu przynajmniej 40 lokomotyw i 1000 wagonów przesunęło się nad głowami tych ptaszków, które nic wcale sobie nie robią z tego i troskliwie zajmują się pielęgnowaniem czworga swych młodych.

*** Tajfun. Taką nazwę mają wichry cyklonowe, nawiedzające chińskie i japońskie wybrzeża Spokojnego oceanu, zazwyczaj w porze ekwinokcyalnej. I w tym roku tajfun straszliwie szalał w okolicach europejskiej kolonii morskiej w Chinach, Kantonu. Z prywatnego listu bawiącego tam Wiedeńczyka podaje „N. fr. Presse" następujące szczegóły o tym straszliwym gościu: We czwartek dnia 11 kwietnia tak Kanton sam, jako też osada europejska, położona na małej wyspie Shamin, była widownią przewrotu natury, o jakim Europejczycy nie mogą mieć nawet przybliżonego pojęcia. Około godziny 4 po południu dał się słyszeć szum podobny do tego, jaki wydaje śruba okrętu parowego, ruszającego z miejsca. Nim jeszcze zdołano zdać sobie sprawę z przyczyny tego szumu, rzucił się na miasto huragan, o sile którego niepodobna dać pojęcia. Okna i drzwi w domach wyparte zostały z ram w jednej chwili i unosiły się w powietrzu, najcięższe meble zostały poruszone z miejsca, ściany drżały jak podczas trzęsienia ziemi, dachy z wiązaniami belkowemi podniesione zostały w górę, straszliwy, ogłuszający szum i łoskot napełniał powietrze przez 3 do 4 minut. Potem uciszyło się znów wszystko zupełnie i dopiero można było ocenić rozmiary dokonanego zniszczenia. Z Kantonu pociągnęła trąba powietrzna na wyspę Shamin, gdzie również w ciągu kilku minut zniszczyła całą osadę. Z daleka jeszcze można było widzieć ten potwór straszliwy, który jak olbrzymia, ciemna mara, unosił z sobą drzwi i okna, werandy, cegły, drzewa i szczątki rozbitych łodzi, wirując tem wszystkiem z szaloną chyżością w powietrzu. Czarny słup dymu i kurzu, dobywającego się ze zniszczonych domów, pędził za ową marą, a po chwili tu i owdzie pokazywać się zaczęły nad miastem także płomienie. Angielski konsulat, domy firm Geppa, Arnolda, Karberga i spółki, Mathisona i t. d. albo runęły, lub też utraciły dachy; składy jedwabiu wielu firm, zbudowane po największej części z drzewa, zrównane zostały z ziemią, a w gruzach ich utraciło życie mnóstwo robotników chińskich. Kamienie, ważące więcej niż tonę (20 centnarów) staczał wicher do kanału, płynącego środkiem miasta, drzewa wyrywał z korzeniami, żelazne słupy latarń łamał w połowie jak źdźbła. Ani jeden Europejczyk jednak — ile wiem — nie utracił życia; natomiast liczba ofiar pomiędzy robotnikami chińskimi, na razie jeszcze nie sprawdzona dokładnie z powodu nieuprzątnięcia wszystkiego gruzu, wynosi 6 do 8 tysięcy. Kto zna życie i ruch na rzece Kantonu, widział niezliczoną ilość statków na wązkim kanale pomiędzy Shaminą a miastem, ten pojmie, że na tych statkach samych setki ludzi utraciły życie.

*** Kordyalny uścisk. Donosiliśmy niedawno, że wiolonczelista Diem w Stuttgardzie pozwał sądownie pewnego profesora, który winszując mu powodzenia po koncercie w kawiarni, tak uścisnął go serdecznie, że na parę tygodni ubezwładnił mu dłoń. Proces w tych dniach został ukończony zgodą stron spornych. Wirtuoz wiolonczelista otrzyma od wirtuoza w ściskaniu dłoni 250 marek odszkodowania straconych korzyści i 40 marek jako zwrot kosztów leczenia ubezwładnionej ręki.

*** Otrucie rękawiczkami. Pewien major pruski, w podróży z Berlina do Szlezwiku kupił sobie w Hamburgu rękawiczki barwy niebieskiej, tak zwanej ultramarin. W drodze mocno zachorował, a na dłoniach wystąpił mu rodzaj trądzika. Za przybyciem do Szlezwiku musiał się udać do lekarza, który sprawdził, że choroby przyczyną był arszenik, którym rękawiczki były zabarwione.

*** Pewna dama zostawszy wdową po 25 latach pożycia z mężem, gorżko płakała nad jego grobem:

— Ja nie pojmuję, czego ty się tak zabijasz, zauważyła jej przyjaciółka, wszakże z nieboszczykiem nie byłaś szczęśliwą?

— Ach ja nie po nim płaczę? Mnie martwi tylko to, że ten niegodziwiec pozostawił mnie „starą wdową."

*** *Strzał nie — Tella.* W Opera-House w Pawtucket R. J. zdarzył się 5. z. m. podczas przedstawienia straszny wypadek. Produkowało się tam Towarzystwo gimnastyków z Brooklyn, a niejaka Jenny Franklin, właściwie po mężu nosząca nazwisko Fowler, popisywała się celnem strzelaniem z pistoletu. Po kilku strzałach do celu miała ona zestrzelić jabłko z głowy panny Volante, zawieszonej na trapezie. Chcąc zaciekawić publiczność pani Fowler odwróciła się do źwierciadła. Padł strzał, i w tej chwili piękna Volanta runęła w piasek.

Panią Fowler uwięziono.

Tylko panią Fowler? a policya, która podobne produkcye dozwoliła, a publiczność, która za nie zapłaciła nie są winni? Dziwna wyrozumiałość. Najlepiej już było, rewolwer uwięzić, bo to on był bezpośrednim sprawcą morderstwa.

Treść Nr. 41.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.